Rok XV. Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał I.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

Siostry Miłosierdzia w Messynie str. 1.
U Konfratrów w Konstantynopolu str. 7.
Z Parany str. 24.
Kronika str. 48.
Dekreta Stolicy św. str. 72.
Pro memoria str. 76.
Ś. p. ks. Ignacy Wypyski str. 77.
Ś. p. Siostra Marta Namysło str. 78.
Zmarli Misyonarze str. 80.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1909 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Siostry Miłosierdzia w Messynie.

(Por. paryską *Semaine religieuse* z dnia 16. stycznia b. r.)

W chwili, gdy straszne trzęsienie ziemi obracało w gruzy sławną Messynę, Zgromadzenie S. S. Miłosierdzia liczyło w tem mieście 39 Sióstr, w trzech znacznych zakładach dobroczynnych, to jest dziesięć w szpitalu wojskowym, dwadzieścia w szpitalu miejskim, a dziewięć w zakładzie Collereale, obszernem na trzystu starców obojej płci przytulisku.

Szpital wojskowy. Dnia 28. grudnia 1908 r. o godzinie wpół do piątej zgromadziły się Siostry, jak zwykle, w kaplicy na modlitwach porannych; dwóch tylko brakowało. S. Duponchel, która tej nocy czuwała przy chorych a obecnie poszła na spoczynek, i S. Jaccarino, przykutej do łoża ciężkim artrytyzmem. Pięć minut po wpół do szóstej ogłuszył je huk straszliwy, a gwałtowne wstrząśnienie całego gmachu wyrzuciło wszystkie ośm Sióstr z kaplicy, której sklepienie zapadło się z łoskotem, zostawiając w całości tylko Tabernakulum, oraz statuy Niepokalanej Dziewicy i św. Tadeusza. Znalazłszy się, same nie wiedząc jakim sposobem, na podwórzu, wśród ulewnego deszczu i gęstego kurzu, przy pierwszym brzasku dnia spostrzegły Siostry z przerażeniem na miejscu wspaniałego szpitala kilka sterczących w górę ogromnych odłamów muru. Cóż stało się z biednemi Siostrami, które pozostały na dormitarzu? Cóż z ukochanymi chorymi? Z rozdartem sercem zaczęły Siostry robić poszukiwania. Wkrótce spostrzegły w stronie dawnego dormitarza na trzeciem piętrze powiewającą chustkę. Była to S. Duponchel, która zbudzona łoskotem, czując, że coś ciężkiego spadło na jej łóżko, skryła na razie głowę pod kołdrę, ale po chwili uchyliwszy jej nieco, ku przerażeniu swemu, poprzez belki skrzyżowane

ponad nią, jak gdyby dla uchronienia jej od śmierci, zobaczyła niebo zachmurzone i uczuła rzęsiście lejący deszcz. Patrzy wkoło, wszędzie pustki, tylko u nóg łóżka i po prawej stronie kawał muru, na którym wspierały się belki, podtrzymywane z drugiego końca drugim murem, dalej położonym. S. Jaccarino w daleko straszniejszem była położeniu. Całe łóżko, nawet poduszka zasłana kamieniami, z których niejeden był tak wielki, że sam byłby mógł zabić biedną Siostrę, gdyby był w nią ugodził. Nie doznała wszelako najmniejszego obrażenia. Zaiste cudowna to opieka Boża!

Zewsząd tymczasem dochodziły rozdzierające wołania o pomoc. Siostry, będące w podwórzu, same cudownie ocalone, a upewnione o życiu i chwilowem bezpieczeństwie swych dwóch towarzyszek, zachęciły je do cierpliwości i ufności w opiece Najśw. Dziewicy, która już tyle dla nich zdziałała, i rzuciły się na ratunek nieszczęśliwych chorych, zasypanych gruzami. Przy pomocy Bożej zdołały uratować wielką ich liczbę, a gdy już nie mogły się dosłuchać znikąd żadnego jęku, powróciły do swych dwóch towarzyszek, które przykute do jednego miejsca, zapytywały siebie z okropnym niepokojem, czy jest jeszcze dla nich ratunek. Kilku żołnierzy, nadeszłych z Siostrami zawyrokowało, że wszelka pomoc niemożliwa. Znalazł się wszakże jeden, zaledwo dopiero do zdrowia przychodzący, który zawołał: „Umrę, jeżeli potrzeba, ale muszę je wyratować!“ — i wskoczył na chwiejący się mur, czepiając się sterczących kamieni. Siostry tymczasem, zamknąwszy oczy z przerażenia, modliły się gorąco. Za chwil kilka obydwie ich towarzyszki wyratowane składały dzięki P. Bogu i swemu wybawcy.

Stroskane o los swych biednych chorych, nie zapomniały Siostry o dyrektorze szpitala. Nie widząc śladu mieszkania jego rodziny, starały się wyszukać miejsce, w któremby mógł być pod gruzami. Pomimo grożącego zewsząd niebezpieczeństwa od kamieni, padających co chwila z murów pozostałych, zaczęły odsuwać kamienie i gruzy, zaglądając do każdej szczeliny. Po pewnym czasie usłyszały głos przytłumiony,

wołający ratunku. Z nowym przeto zapałem jęły się roboty, a nawet żołnierze, w przerażeniu i bezczynnie stojący, zachęceni ich słowami, a zwłaszcza przykładem, nabrali odwagi do pracy. Ku wielkiej radości, usiłowania te szczęśliwy uwieńczył skutek. Pułkownik, leżąc jeszcze pod gruzami, doskonale słyszał rozmowę Siostr, zachęcających żołnierzy do pracy; to też, gdy w kilka dni potem spotkał się na statku z królem, przybyłym na miejsce katastrofy, na jego radosny wykrzyknik: „Uratowanyś więc, kochany pułkowniku“, odpowiedział: „Najjaśniejszy Panie, życie me zawdzięczam bohaterstwu Siostr Miłosierdzia!“ — i wskazał ręką na znajdujące się tamże Siostry, przybrane w braku zniszczonych swych sukni w peleryny żołnierskie.

Szpital miejski. Tutaj także bawiły Siostry w kaplicy, z wyjątkiem chorej S. Capecelatro. Czując nagle gwałtownie podnoszącą się podłogę, zerwały się wszystkie i rzuciły ku drzwiom, ale tylko szesnaście ich zdołało się wydostać przed kaplicę, trzy zapadły się wraz z podłogą, a na nie zwaliły się dwa wyższe piętra domu. Najmłodsza z nich, S. Ursi, cierpiąca na serce, dostała ataku i skończyła niemal w tej samej chwili; pozostałe dwie, mimo że tchu im brakło, usiłują wołać o pomoc. Trzy Siostry natenczas spuszczają się w dół ten i starają się je wygrzebać, ale pracę ich niweczy coraz to nowy grad kamieni, grożąc nawet śmiercią bohaterskim robotnicom. Praca ta trwała około pięć godzin. O jedenastej sił im już zabrakło, opuściły ręce i w przekonaniu, że śmierć nadchodzi, poleciły dusze swoje i biednych zasypanych P. Bogu. W tej jednak chwili właśnie nadeszła pomoc, przybyło dwóch stróżów miejskich, zbrojnych w potrzebne narzędzia. Czas już był wielki, bo oddechu już brakowało zasypanym, a sił do pracy tym, które usiłowały je wyratować. W ten sposób życie ich ocalało w chwili właśnie, gdy zeń były zrobiły ofiarę P. Bogu.

W tym samym zaś czasie przełożona wraz z resztą towarzyszek zajmowały się ratunkiem chorych, których liczono od czterystu do pięciuset. Większość zdołano wyratować,

równie jak i wszystkie sieroty. Dziwnem zrządzeniem Opatrzności dzień przedtem usunięto łóżka z jednej części dormitarza dzieci, by tam urządzić drzewko, a ta część właśnie się zapadła. Z powodu zawalenia się schodów musiały dzieciaki powychodzić przez okno i spuszczać się po rusztowaniu budującego się w sąsiedztwie gmachu. Dwu poczciwych murarzy przybiegło im na pomoc; poznosili nawet najmniejsze, pozawijane w kołdry. Na sto jednak drobnych dziatek aż ośmdziesiąt ośm pomarło.

Przytulisko Collereale. Cały niemal gmach runął w gruzy zaraz za pierwszem wstrząśnieniem. Zebrane tak jak w dwóch poprzednich domach na modlitwie Siostry, zaskoczone ogłuszającym trzaskiem i ciemnością straszną, sądziły, że nadeszła dla nich ostatnia godzina; poleciły więc dusze swoje i swych starców P. Bogu i czekały. Gdy jednak huk się nieco uciszył, spostrzegły dopiero, w jak okropnem znalazły się położeniu, ale zarazem, jak cudownej doznały opieki. Olbrzymie kamienie padały wokoło, druzgocąc wszystko po drodze, łamiąc i przewracając olbrzymie statuy marmurowe, a na głowy Sióstr nie spadło nic, prócz pyłu; wszystkie wyszły bez szwanku z pośród tych zabójczych pocisków. Przełożona odważyła się nareszcie wyjść na podwórze, ale z przerażeniem spostrzegła na miejscu sal starców olbrzymie stosy belek i odłamów kamieni i murów. Woła, lecz nie słyszy żadnej odpowiedzi. Nadbiega kapelan zakładu z posługaczem, we troje zaczynają grzebać w zwaliskach, wołając starców po imieniu. Po niejakim czasie usłyszeli wreszcie kilka słabych głosów: „Matko przełożona, ratuj nas!“ Z nową więc odwagą chwyciła się pracy garstka ratujących, wzrastająca coraz więcej. Odgrzebywanie postępuje śmiało naprzód; podnoszą się kamienie, piłują belki, wydobywa się chorych i cuci się zemdlonych. Wielu znaleziono już bez życia, innych w konaniu, a ci, co żyli, ginęli niemal z zimna i głodu. Zostało na szczęście nieco żywności niezniszczonej; zaczęto ją roztropnie rozdzielać, tak że starczyło dla wszystkich na sześć dni. Siostry, mimo nalegań, nie opuściły zakładu, póki była

nadzieja ratowania zasypanych gruzami. Przy pomocy dwóch poczciwych posługaczek żywiły wszystkich, wspinając się nawet po dachu lub po murach chwiejących się, żeby przez dziury, w murze powybijane, podać trochę zupy starcom, których nie zdołano jeszcze uwolnić.

Przybył nakoniec superyor Ks. Ks. Misyonarzy z Katany, ks. Mancino, niosąc dla zgłodniałych duży wór chleba na plecach; on to skłonił Siostry, że aczkolwiek ze ściśnionem sercem, podążyły pod jego wodzą do miasta Bagheria, gdzie się niemi zajęto troskliwie.

Ambulansy. Zaraz nazajutrz po strasznej katastrofie wysłała S. Wizytatorka neapolitańska do Messyny swoją asystentkę z gromadką Sióstr i rozpisała wezwanie do wszystkich domów na Sycylii, w Apulii i w Abruzach, aby przysłały możliwie największą liczbę Sióstr dla założenia jak najliczniejszych ambulansów w Palermo, w Katanie, w Salernie, w Accireale i t. d. W samym Neapolu przeznaczono natychmiast pięćdziesiąt Sióstr do siedmiu ambulansów, otwartych dla nieszczęśliwych ofiar z Messyny. Ośm szpitali neapolitańskich, obsługiwanych przez Siostry, odstąpiło swych łóżek i Sióstr infirmarek, Centralny zaś dom otworzył swe podwoje dla wygnanek z miast, dotkniętych tą straszną klęską. Codzień też tak urzędowe organa, jak i instytucye prywatne, zwracały się do gotowych do poświęcenia się Sióstr Miłosierdzia, zawsze zyskując posłuch dla swej prośby.

Wzruszające do głębi współzawodnictwo w zbożnej pracy przygarnięcia i wspomagania nieszczęśliwych ofiar katastrofy ogarnęło wszelkie warstwy społeczne w Neapolu. Bogaci zamieniali pałace swe na ambulansy, w szpitalach chorzy, którym się nieco zdrowie polepszyło, odstępują swych łóżek rannym z Messyny, a nawet wśród najbiedniejszych widać rozrzewniające objawy miłosierdzia, jak naprzykład u jednej praczki, która przybiegła do prezydentki Komitetu ratunkowego i ofiarowała jej paczkę, mówiąc: „Oto, proszę pani, sztuka pięknego płótna, które moja babka uprzędła własnoręcznie, a które chciałam przechować dla mojej córki, ale

ochoczem sercem oddaję je tym biedakom, co nawet nie mają kawałka bielizny na zmianę". A gdy pani ta zwróciła jej uwagę na to, że to za wiele na nią biedną, odrzekła prawie że z niechęcią: „To nam ubogim nie dane szczęście sprawienia drugim pociechy? Ja z radością oddaję to płótno nieszczęśliwym Messyńczykom, bo oni w tej chwili są daleko biedniejsi odemnie. Gdy córka moja dorośnie, Bóg ją sam opatrzy".

W Rzymie na życzenie Ojca św. zamieniono obszerne, zwykle na pomieszczenie pielgrzymów przeznaczone zabudowania św. Marty na sale szpitalne; trzysta łóżek zakładu zapełniły się wnet w znacznej części. I tutaj Siostrom Miłosierdzia przypadło w udziale obsługiwać biedne ofiary nieszczęścia. Na życzenie Ojca św. wysłano też gromadkę Sióstr z Rzymu do Katany.

U Konfratrów w Konstantynopolu.

(Ciąg dalszy).

1. *Wycieczka do Bebek.* Kolegium St. Benoît leży w najbrudniejszej i najobskurniejszej części Galaty, opodal sławnej wieży z czasów genueńskich. Wysoki wszelako mur, pochodzący jeszcze z XIII. w., oddziela zabudowania konfratrów od zaułków podmiejskich, jeno gwar i hałas nocny przedostaje się jeszcze w mury domu. Przez piękną bramę z epoki romańskiej, ze wspaniałymi pilastrami, wchodzimy na mały podworzec, obsadzony drzewami. Zaraz na wstępie mamy kaplicę, raczej kościółek, którego portal znowu nam przypomina czasy cesarstwa łacińskiego na wschodzie, potężna także baszta, przeznaczona na dzwonicę, przenosi nas w wieki średnie, gdy to wiara organizowała narody do pochodu na Wschód, aby z rąk półksiężyca wyrwać ludy chrześcijańskie. Wszystko to wskazuje nam, że znajdujemy się w obrębie dawnej średniowiecznej fortecy, z której została tylko wieża na Galacie i części murów u naszych konfratrów. Miłą jest rzeczą skónstatować i na zewnątrz ciągłość z minionymi wiekami; dzisiaj również Kościół organizuje krucyatę nowego rodzaju, idzie na Wschód, lecz nie z mieczem w ręku, nie z polityką i jej złudnemi nadziejami, tylko z miłością i miłosierdziem chrześcijańskiem. Jego wojsko, to zgromadzenia męskie i żeńskie, niosące wschodniemu Kościołowi to, co Kościół łaciński ma najszczytniejszego, niosą mu prawdę, podniesioną i oświeconą światłem wiary, i miłość, rozlewającą się całym strumieniem uczynków miłosiernych. Już nie stawiają się baszty, ani fortece, ani mury obronne, jego rycerze nie są zakuci w stal, lecz chronią się po szpitalach, szkołach i różnych innych zakładach dobroczynnych, a tak zdobywają serca Panu Bogu. Choć więc smutno widzieć, że dawne baszty zamieniają się

w proch, radujemy się wielce, bo ta nowa krucyata zdaje się więcej odpowiadać duchowi Chrystusa, to też z wielką otuchą w sercu patrzymy na słabe mury klasztorne, poza którymi widzimy serca silne wiarą i gorącością ducha.

Nie muszę chyba mówić, jak miłego przyjęcia doznałem u konfratrów, a gdy się przekonali, żem misyonarz z Polski, jeszcze więcej okazali mi serca; dom ten bowiem od dawnych już czasów z wielkiemi sympatyami zwracał się do Polaków, dla których w Konstantynopolu dużo dobrego zrobił, jak to później pokażemy. Prokurator domu, ks. Vachette, zajął się mną z całą serdecznością. Zaraz po obiedzie odwiedziliśmy kilka domów Sióstr, a także złożyliśmy uszanowanie naszym niemieckim konfratrom u św. Jerzego, lecz przedewszystkiem pragnął mnie przedstawić konfratrom francuskim, którzy właśnie wtedy bawili na wypoczynku w Bebek.

O godzinie 4. znowu znalazłem się nad Bosporem, teraz dopiero lepiej mogłem się przypatrzeć olbrzymiemu ruchowi tysięcy małych łodzi i statków, które odbywają służbę po Bosporze. Skacząc z jednego na drugi, dostajemy się do motoru, mającego nas zawieźć do Bebek. Statek piętrowy, na pokładzie pomieści się do dwustu pasażerów; istna wieża Babel, odrazu i równocześnie odbijają się o uszy nasze wszystkie języki europejskie, towarzystwo najróżnorodniejsze, osobne miejsce za kurtyną przeznaczone dla dam tureckich. Smutno się robi na widok tych niewiast, oddzielonych zupełnie od społeczeństwa; wszystkie twarze okryte grubymi welonami; choć i tutaj próżność kobieca umie omijać ostre przepisy Koranu. Posuwamy się obecnie znacznie wolniej na wodach Bosporu, płyniemy tuż koło brzegu, możemy zatem ponownie przyjrzeć się prześlicznym pałacom sułtańskim. Uderza nas przedewszystkiem ich mnogość. Wogóle u władców wschodnich spotykamy ten zwyczaj, że każdy monarcha nową sobie siedzibę buduje, jakoś nie mają odwagi mieszkać w pałacach swych poprzedników; przyczyną tego może zabobon, a może też krwawe tragedye, których zazwyczaj były świadkami te gmachy. Choć oni są nieograniczonymi władcami

życia i śmierci, jednakże nigdy nie są pewni swego własnego bezpieczeństwa, na dowód czego wystarczy odczytać ostatnie karty historyi tureckiej. Obecny sułtan Abdul Hamid, czyż mało ma krwi niewinnej na swojem sumieniu, czyż za jego rządów z wyrachowaną systematycznością nie wyrżnięto sto tysięcy Ormian? W samym tylko Konstantynopolu naliczono 10 tysięcy ofiar. Dziwny kontrast cudownie lekkich i pogodnych budowli, nad niemi tak piękne niebo, Bospor zdaje się z niemi pieścić, a wewnątrz nich żyli okrutni tyrani. Staramy się jednak rozegnać te smutne wspomnienia, gdyż słońce tak miło przygrzewa, i zachodząc, jeszcze ozłaca potokiem promieni cudowne okolice. Bebek, jak już wspomniałem, jest wioską, malowniczo położoną w małej kotlince, spadającej stromo ku brzegom Bosporu. Miejsce idealne dla wypoczynku, od północy osłonięte górami przed zimnym wichrem, natomiast strona południowa wystawiona na działanie miłych wiatrów morskich. Panorama cudowna. U stóp naszych Bospor, a po drugiej stronie wysokie góry Bitynii, za niemi zaś Azya, miejsce pobytu tych wielkich postaci z początków chrześcijańskich. Tam Jan św. piórem niebieskiem kreślił nam żywot Zbawiciela, tam apostołował Piotr, prosty ale potężny wiarą rybak z Betsaidy, tam też wśród trudów i walk przeróżnych zakładał gminy chrześcijańskie Paweł i inni Apostołowie, jak Andrzej i Filip, swym potem zraszali te niwy, dzisiaj zachwaszczone błędami niewiary; nadzieja wszelako, że praca Apostołów nie pójdzie na marne, koi ten ból. Niema więc chyba lepszego miejsca na wilegiaturę dla konfratrów; te szczytne wspomnienia, widoki wspaniałe, spokój, gdyż jesteśmy daleko od wiru wielkomiejskiego, to wszystko wzmacnia zwątlone siły konfratrów. Miejscowość tę nabyło Zgromadzenie jeszcze w r. 1836, po sprzedaniu willi w St. Stefano nad morzem Marmara. Miejscowość tę ukochał przedewszystkiem wielki ks. Eugeniusz Boré, za jego to poradą Zgromadzenie tutaj się osiedliło, on także stąd przez 15 lat rządził rozległą prefekturą apostolską Turcyi europejskiej. Tutaj także przez 30 z górą lat było kolegium, dzięki któ-

remu nasze Zgromadzenie głęboki wywarło wpływ na stosunki religijne w Konstantynopolu. Kolegium to, ucząc młodzież różnej narodowości i religii, nauczyło ją kochać europejską cywilizacyę, z czem zarazem usunęło dużo uprzedzeń do religii chrześcijańskiej, z której przecież, jako z korzenia, wyrosła nasza kultura. Dopiero w r. 1879, kiedy wielki pożar zniszczył całą rezydencyę konfratrów, przeniesiono kolegium do St. Bénoît w Konstantynopolu. Zgromadzenie nasze, jako też i Sióstr Miłosierdzia, posiada nadto w Bebek kilkanaście domów czynszowych, a ogrody wielkie piętrzą się terasami aż na szczyt gór. Bebek jeszcze raz spłonął w 1904 r., lecz zaraz w następnym roku zbudowali sobie konfratrzy nową willę. Dom mieści się na najwyższej terasie wioski. Wszystkie okna zwrócone ku Bosporowi; przy nim zaś znajduje się obszerna kaplica, w której, obok konfratrów i Sióstr, także katolicy łacińscy zaspokajają swe potrzeby religijne. Spotkałem tu przeszło 20 konfratrów, znajdujemy staruszków, którzy posiwieli na pracach misyjnych lub na katedrach profesorskich, obok nich zaś młodziutkich konfratrów, którzy dopiero rozpoczynają swoją pracę. Bardzo się budowałem harmonią, jaka panuje wśród nich, a także zachwycało mnie ich wykształcenie głębokie. Tak spędziłem miło cały dzień wśród konfratrów, nazajutrz zaś wróciłem z nimi do Konstantynopola, była bowiem sobota, wiec wszyscy konfratrzy na niedzielę zjeżdżali do miasta, aby pełnić duchowne posługi w kaplicach bardzo licznych domów siostrzyńskich, rozrzuconych po całym Konstantynopolu.

2. *Wycieczka na wyspę Antigoni.* W niedzielę 25. sierpnia 1907 r. zaprosili mię konfratrzy niemieccy z domu św. Jerzego, abym ich odwiedził w domu wakacyjnym na wyspie Antigoni. Towarzyszył mi znowu czcigodny ks. Vachette, przyłączył się także do nas dyakon ze Spadaro, dawny wychowanek konfratrów z kolegium St. Benoît. Na statku jeszcze spotkaliśmy kanclerza delegatury apostolskiej, który także wybierał się na Antigoni w sprawach urzędowych, gdyż tam wówczas bawił u naszych Sióstr wikaryusz generalny, Msgr.

Borgomanero. Antigoni jest to nader urocza wyspa, należąca do grupy wysp książęcych. W starożytności nazywały się one Demonesoi, zaś w wiekach średnich Papadonisia, gdyż tutaj znajdowały się liczne klasztory. Leżą one na południowy wschód od Konstantynopola na morzu Marmara w pobliżu wybrzeży małoazyatyckich. Na wyspach tych malutkich znajduje się mnóstwo will, a z powodu malowniczego położenia i łagodnego, niepodlegającego zmianom klimatu, są one ulubionem miejscem wakacyjnem dla mieszkańców Konstantynopola. Jest ich dziewięć. W starożytności, zdaje się, były wszystkie zamieszkałe, o czem świadczą liczne ruiny, obecnie zaś tylko największe wśród nich, jak Prinkipo, Antigoni, Chalki i Proti. Malutkie natomiast wysepki, jak Oxeia i Plati, są zupełnie puste. Zamieszkuje je przeważnie ludność grecka. Parostatki między Konstantynopolem a temi wyspami kursują cztery razy dziennie. Wyjechaliśmy około godziny 9. rano. Właśnie zaczął padać drobny deszcz, ale gdyśmy przybyli na miejsce, nastała piękna pogoda. Statek wypełniony po brzegi— jest niedziela, więc wszystko, co żyje, ucieka z Konstantynopola, by odetchnąć świeżem powietrzem. Z zainteresowaniem się wielkiem przypatruję się tej mozaice ludności Stambułu. Naprzemian rozbrzmiewają języki: turecki, grecki, niemiecki, rumuński, włoski, francuski, rosyjski, ormiański i bułgarski, tylko ja ze swoim polskim językiem nie miałem się przed kim popisywać. O godzinie 11. zawinęliśmy do portu w Antigoni, gdzie konfratrzy niemieccy przygotowali nam nadzwyczaj serdeczne przyjęcie. Willa konfratrów z drzewa, w stylu szwajcarskim, wznosi się na wysokości 80 metrów ponad morzem i przepięknie odbija od świeżej zieleni wspaniałych lasów. Z terasy domu widok przepiękny na malownicze wyspy Proti i Chalki, wyspę zaś Prinkipo zasłania przed naszym wzrokiem wspaniała Chalki. Z konfratrami przechadzaliśmy się całą godzinę na terasie, zachwycając się piekną panoramą i wdychając w siebie słodką woń powietrza, przyczem konfratrzy opowiadali mi nader wiele interesujących szczegółów o tutejszych stosunkach. Po obiedzie zapropo-

nowali nam konfratrzy wycieczkę po morzu Marmara na łódce, której współwłaścicielami są konfratrzy i Siostry niemieckie. Siostry mają tutaj filię szpitala św. Jerzego dla chorych dzieci, nadto osobny domeczek wakacyjny, a w środku, między tym domkiem i willą konfratrów jest kuchenka, gdzie Siostry sobie i konfratrom gotują jedzenie. Widzimy więc, że wzór, zaczerpnięty z domu macierzystego w Gracu, naśladują konfratrzy nawet na obczyźnie. Zauważyłem tutaj nadzwyczajny szacunek, jaki żywią francuscy konfratrzy, jak i niemieccy, względem Sióstr, które też istotnie cudów miłosierdzia dokonywują. Uderzała mię także niezmierna prostota i uprzejmość konfratrów niemieckich. Istotnie wypielęgnowali oni w sobie znaną niemiecką „Gutmütigkeit“ w najwyższem tego słowa znaczeniu. Jeszcze jedną rzecz tu zauważyłem, zarówno u konfratrów francuskich jak i niemieckich, co także poznałem później i w innych naszych kolegiach na Wschodzie, że Zgromadzenie nasze pracuje wspólnie z pobożnem zgromadzeniem Braci Marystów. Bracia ci z natury rzeczy skazani są na oglądanie się na pomoc jakiegoś zgromadzenia zakonnego, gdyż są to sami laicy, nie mają wśród siebie kapłanów. Mieszkają oni tuż obok, albo nawet w tym samym domu, jak na Antigoni. Przy St. Benoît wynajęli im nasi konfratrzy dom, a taksamo uczynili w Bebek. Otóż dwa te zgromadzenia już od roku 1891, z budującą harmonią i zgodą pracują nad wychowaniem młodzieży; nasi prowadzą t. zw. Grand Collège, a Maryści Petit Collège. Zgromadzenie Marystów ma poza tem jeszcze wiele różnych innych szkół na Wschodzie. Stosunek tych zgromadzeń, jak zaznaczyłem, jest nader budujący i dziwna rzecz, że to nie oddziaływa niekorzystnie na naszych braci, którzy muszą ciężko pracować, zwłaszcza u Niemców, bo we francuskich domach znajduje się ich bardzo mało.

Dom na Antigoni jest filią kolegium św. Jerzego na Galacie. Przy tej sposobności chciałbym choć kilka słów powiedzieć o powstania tego kolegium. Aż do roku 1866 katolicy niemieccy w Konstantynopolu zupełnie byli pozbawieni wszelkiej opieki duchownej. W tym dopiero czasie jedna z Sióstr

Miłosierdzia, nawrócona z protestantyzmu, ujęła się za swoimi rodakami. Z doświadczenia wiedziała, ile to ludzi na obczyźnie traci wiarę, przedewszystkiem na Wschodzie. Konstantynopol to prawdziwa arka Noego, tu się skupiają wszelkie narodowości i religie; ciągły kontakt z niewiernymi przeróżnych odcieni naturalnie osłabić musi wiarę, przyniesioną z ojczyzny; tu też na każdym kroku spotykamy się z faktem, że jednostka tracąc narodowość, traci tem samem swoją religię, czem się też tłómaczy gorliwość, z jaką katolicy różnych narodów opiekują się swoimi współrodakami na Wschodzie. Gorliwa ta Siostra szukała więc sposobu, aby złemu zaradzić. zwłaszcza że protestanci niemieccy mieli tak dużo przeróżnych instytucyi, opiekujących się Niemcami; nic przeto dziwnego, że wielu z katolików niemieckich w tych zakładach protestanckich traciło wiarę. Otóż jeden z konfratrów z domu św. Benedykta, z pochodzenia Lombardczyk, ks. Danelli, umiejący po niemiecku, zaczął katechizować i głosić kazania katolikom niemieckim. Później zaś konfratrzy francuscy wystarali się u O. Generała o przysłanie niemieckiego konfratra, jednakże ks. Thiele wkrótce po przybyciu na Wschód umiera. Wtenczas to, po wybuchu *kulturkampfu* w Niemczech, zrządziła Opatrzność, że niektóre wygnane Siostry aż w Konstantynopolu szukają pola pracy. Roku 1874 widzimy w Konstantynopolu niemiecki dom Sióstr, które obok szpitala, wizyt chorych po domach, prowadzą szkółkę, złożoną ze 150 dzieci. Szkółkę tę utrzymywało Towarzystwo św. Wincentego, złożone z pań austryackich. Naturalnie szkółka ta nie mogła się należycie rozwijać, bo fundusze, dostarczane przez miejscową kolonię niemiecką, były stanowczo za szczupłe. Siostry nawet nie miały własnego domku, tylko mieszkały w wynajętym. Dopiero od r. 1883 następuje zwrot ku dobremu. Wtenczas to ks. Huhn, jeden ze znakomitych kaznodziei niemieckich, który naocznie przekonał się o opłakanych stosunkach katolików niemieckich w Stambule, na wielkim *Katolikentagu* w Bonn podniósł myśl, aby szerokie koła niemieckie zajęły się losem swych współrodaków w Turcyi. Wtenczas także

ks. Stablewski, wówczas poseł do parlamentu, w gorących słowach poparł ten wniosek, wskazując na Francyę, która dzięki różnym stowarzyszeniom i prywatnym składkom, już wówczas utrzymywała w Turcyi szereg szkół, do których uczęszcza 35.000 dzieci. (Zaznaczyć można też tutaj, że z tego przeszło 7.000 już wówczas wychowują obydwie rodziny św. Wincentego). Wskazał dalej, że w r. 1879 katolicy francuscy wydali na cele szkolnictwa w Turcyi pół miliona franków. Zainteresowanie w Niemczech rzeczywiście się obudziło, tak iż niebawem Siostry otrzymują własny dom, a w roku 1889 znajdujemy w Konstantynopolu także konfratrów niemieckich z Gracu. Obydwa te domy bardzo prędko się rozwijają, bo w pięć lat później mamy w Konstantynopolu 12 misyonarzy i 17 Siótr niemieckich, a szkoła ich liczy przeszło 300 uczenic. Obok szpitala otwarto ambulatoryum okulistyczne, aptekę, tanią kuchnię, ochronkę dla dzieci i cały szereg innych dzieł miłosierdzia. Ale nie na tem koniec prac konfratrów z kolegium św. Jerzego. Choć katolicy niemieccy mają zapewnioną duchowną opiekę w Konstantynopolu, młodzież wszakże nie jest dostatecznie zabezpieczoną przed utratą wiary. Wśród młodzieży niemieckiej bowiem znajdujemy wielu takich, którzy potrzebują większego wykształcenia niż to, jakie daje szkoła elementarna. Odkąd w Konstantynopolu wpływ niemiecki stawał się coraz potężniejszy, zwłaszcza kiedy Wilhelm II. ogłosił się opiekunem Turcyi, szerokie koła zapragnęły zapoznać się bliżej z językiem niemieckim. Tak więc zarówno katolicy niemieccy, jako też młodzież innych narodowości i wyznań, z konieczności musiała szukać wyższego wykształcenia w znakomicie urządzonem kolegium protestanckiem na Perze. W takich okolicznościach postanowili przeto nasi konfratrzy założyć u siebie kolegium, któreby młodzieży katolickiej dawało to samo wykształcenie, jakie otrzymywała u protestantów. Dzisiaj to kolegium jest w bardzo kwitnącym stanie.

Otóż po południu puściliśmy się razem z ks. Vachette, dyakonem Spadaro i dwoma braćmi Marystami w malutkiej łódce na morze Marmara. Celem naszej wycieczki było opłynąć

dokoła wyspę Chalki. Jest ona, mojem zdaniem, najpiękniejszą, chociaż wyspa Prinkipo największą ilość wycieczkowców ku sobie pociąga. Wyspa Chalki składa się z jednego łańcucha górskiego, dochodzącego do 150 m. wysokości, w środku jest mocno zwężona, ku północnemu wschodowi znacznie się rozszerza, a od południa tworzy piękną zatokę, nad którą zbudowaną jest szkoła marynarki tureckiej. Szczyt południowy wieńczy wspaniały gmach, grecka szkoła teologiczna, gdzie się wychowują przyszli kapłani, którzy jednak podobno mało zajmują się nauką. Jak mi opowiadali konfratrzy, panuje wśród kleru parafialnego wielka ciemnota, wśród duchowieństwa wyższego zaś znajdujemy dużo wykształconych jednostek, które wszakże zarażone są głęboko błędami racyonalizmu, bo z fanatycznej nienawiści do Kościoła rzymskiego, kształcą się przeważnie na niemieckich uniwersytetach protestanckich. Także wpośród szerokich warstw ludności panuje straszna ciemnota religijna. Konfratrzy nasi, pracujący po szkołach i kolegiach, do których przyjmują młodzież bez różnicy religii i narodowości, mówili, że młodzież, mająca pretensye do wyższego wykształcenia, często nawet pacierza nie zna. Całe ich nabożeństwo polega na wielkiej ilości znaków krzyża, wykonanych machinalnie i bez zrozumienia. Wszystkie funkcye duchowne spełniają się za pieniądze. Symonia w kościołach wschodnich stała się chorobą nieuleczalną. Spowiedź w ogromnem zaniedbaniu, np. młodzieży niezamężnej, a względnie nieżonatej, nie wolno się nawet spowiadać z grzechów *contra sextum.* Nasi konfratrzy niemieccy uczą także religii dzieci greckie, oczywiście z pominięciem punktów spornych dlatego, że często nie znają koniecznych prawd do zbawienia i nie mają pojęcia o istotnych warunkach pokuty. Wystarczy, według pospolitej praktyki, powiedzieć kilka grzechów, a najważniejsza rzecz, to zapłacić pensum spowiednikowi. Zresztą dzieci przypuszcza się bez spowiedzi do Komunii św. Często dzieci rozumniejsze przychodzą z płaczem do konfratrów, że popi każą im iść z grzechami do Komunii św., że nie chcą ich spowiadać, choć im sumienie wyrzuca wiele win.

Przy święceniach kapłańskich również nie bardzo się pytają o naukę i pobożność. Na wyspie Antigoni, opodal naszych konfratrów, mieszka szewc, który sobie uzbierał potrzebną sumę pieniędzy i został wyświęcony na księdza; oczywista rzecz, że Mszy św. odprawiać nie może, ani też innych funkcyi, bo ich nie umie. Drugi podobny kapłan ma kawiarnię na Antigoni. Opowiadano mi jako fakt, że gdy taki kandydat na kapłana nie miał dostatecznej ilości pieniędzy, aby zapłacić święcenia, biskup, nie chcąc pozbawiać się tej korzyści, udzielił mu połowy święceń, t. j. wykonał połowę ceremonii, obiecując mu dać drugą połowę, gdy spłaci dalszą ratę. Nic przeto dziwnego, że tacy kapłani wśród ludu nie mają żadnej powagi. Istotnie bardzo smutne panują stosunki w Kościele greckim, toteż jako ideał przedstawiają sobie cerkiew rosyjską, która pod tym względem o całe niebo jest wyższa od Kościoła greckiego. Szkoda zaś ludu greckiego, który bądź co bądź, głęboko jest religijny. Kościół ten niegdyś tak był kwitnący. Konstantynopol, Nicea, Chalcedon, toż przecież najważniejsze centra religijne na Wschodzie, tam gdzie niegdyś tak silnem tętnem biło życie Boże, dziś nad bazylikami Ojców błyszczą półksiężyce.

Wycieczka łódką odbyła się bez znacznych przygód, morze wprawdzie było bardzo wzburzone, a płynęliśmy pod wiatr, nieraz nas zupełnie zmoczyła fala, a łódką miotała jak łupiną orzecha. Tak płynęliśmy przez godzinę. Jazda ta była pełną uroku, bo przed sobą mieliśmy wyspę Chalki, zalesioną pięknymi lasami i obfitującą w cudowne widoki. Miasteczko Chalki, położone na brzegu, liczy koło 6 tysięcy mieszkańców. Na przełęczy, łączącej obydwa szczyty wyspy, wznosi się wielka szkoła handlowa, na miejscu starożytnego klasztoru, z pięknym widokiem z jednej strony na Antigoni, a z drugiej na Prinkipo. Później płynęliśmy w kierunku wyspy Prinkipo, poczem zwróciliśmy się ku małym wyspom Oxeia i Plati. Morze tu zupełnie spokojne, bo wicher wstrzymany był przez łańcuch gór Prinkipo. Jazda stała się teraz nadzwy-

czaj miłą i przyjemną. Następny dzień poświęciłem zwiedzaniu wielkiego kolegium St. Benoît.

3. *Kolegium St. Benoît, oraz jego krótki rys historyczny.* Dom ten, w którym tyle miłych dni spędziłem, zajmuje wielką bardzo przestrzeń; składa się z całego kompleksu skrzydeł, ułożonych w kształcie litery F. Główne skrzydło tworzą trzy części coraz to wyżej się wznoszące, terasowato jedne nad drugą; kościół leży na najniższej terasie w skrzydle bocznem, główne zaś wejście do domu znajduje się od ulicy Luledżi Hendek. Między dwoma bocznemi skrzydłami znajdujemy dwa wielkie i piękne podworce, z których jeden przeznaczony na ćwiczenia gimnastyczne dla kolegiastów. Główne natomiast podwórze, zamknięte ze wszystkich stron, a obsadzone wysokiemi drzewami, jest miejscem rekreacyi dla uczniów kolegium. Tutaj także w osobnym parterowym budynku rozmieszczone są klasy, zdala od gwaru miejskiego. Klasy, są to wysokie, doskonale przewietrzane sale, opatrzone oknami wentylacyjnemi, w zimie zaś ogrzewa się je od strony kurytarza. Osobny gmach przeznaczyli konfratrzy na salę do przedstawień teatralnych, opatrzono ją z trzech stron wielką galeryą; może pomieścić do 800 osób. Na piętrach tego gmachu mieści się znakomicie urządzony gabinet historyi naturalnej z bogatymi zbiorami z botaniki, mineralogii i zoologii. Największą jednak ozdobą kolegium, to olbrzymie muzeum fizyczne. W kilkunastu salach rozmieszczono wszelkiego rodzaju instrumenta i przyrządy, a tuż obok nich znajdujemy wielką pracownię, w której stale, pod kierunkiem profesora, pracuje płatny technik. Podziwiałem tutaj szczególniej olbrzymie akumulatory elektryczne i wspaniały sejsmograf, zbudowany przez jednego z konfratrów. Z pewnością rzadko która z naszych szkół średnich może się poszczycić tak wybornym gabinetem fizycznym. Widać stąd, jak poważnie traktują tutaj tę gałąź wiedzy. Zachwycałem się bardzo znakomitem urządzeniem kolegium, które najdoskonalej odpowiada nowożytnym wymaganiom, przeto też słusznie cieszy się wielkiem poważaniem w Konstantynopolu. Spotykamy tu dzieci najznakomitszych rodzin

Carogrodu. Konfratrzy nasi przyjmują do kolegium uczniów bez względu na narodowość i religię. Postępowanie takie jest niejednokrotnie krytykowane przez różne powołane i niepowołane osoby, lecz zaznaczyć muszę, że w tym względzie nie kierują się oni żadnymi względami materyalnymi, tylko przez dziesiątki lat wypróbowanemi tradycyami tej szkoły. Celem, dla którego konfratrzy nasi otwarli to kolegium w początkach dziewiętnastego wieku, było w pierwszym rzędzie dać sposobność wykształcenia katolikom, a w drugim rzędzie zadaniem tej szkoły było usunąć wiekowe uprzedzenia, nagromadzone pomiędzy Grekami do Kościoła łacińskiego; a także młodzież muzułmańska, zapoznając się z dobrodziejstwami cywilizacyi chrześcijańskiej, miała się tu wyzbyć fanatycznej nienawiści do religii Chrystusowej. O ile cel ten został osiągnięty, to dziś wskazuje wielki wpływ i szacunek, jakiego doznają konfratrzy na Wschodzie i należy się spodziewać, że nowy ruch wolnościowy w Turcyi konfratrom nie zaszkodzi, bo partya młodo-turecka z pewnością liczyć się będzie także z opinią publiczną. Kolegium dzieli się na dwie części. T. zw. Petit Collège, rozmieszczone w osobnym gmachu św. Pulcheryi, który konfratrzy nabyli, dwanaście lat temu, od O. O. Jezuitów prowincyi sycylijskiej, znajduje się na najwyższym punkcie Pery, zatem w miejscu daleko zdrowszem, niż kolegium św. Benedykta. Nauka w Petit Collège rozłożona jest na 7 klas. Wykład odbywa się w języku francuskim. Nauka w Grand Collège trwa lat 6 i rozkładem odpowiada francuskim liceom. Obydwa kolegia liczą dzisiaj przeszło 350 uczniów. Główny nacisk położono na nowożytne języki. Język łaciński wprawdzie nie jest zaniedbany, ale wykładają go szczupłej tylko liczbie uczniów. Wielką wagę przywiązują do nauk matematycznych i fizycznych, wogóle do wiedzy praktycznej, gdyż główny kontyngent tej młodzieży pracować będzie później w konsulatach, biurach bankowych i handlowych.

Jak już wspomniałem na początku, kolegium św. Benedykta znajduje się w średniowiecznej dzielnicy genueńskiej.

Prześliczny portal romański, bardzo gustowny portyk przed kościołem, dalej znaczna część murów, okalających dom, piękna dzwonnica i resztki kolumn, jakie jeszcze zauważyć można w wątku murów kościoła, parokrotnie już przebudowanego, przenoszą nas w okres XII. i XIII. w. Są to czasy największej świetności Kościoła, ale zarazem czasy cesarstwa łacińskiego na Wchodzie, powstałego wpośród klątw i ekskomunik Stolicy św., które to cesarstwo wykopało największą przepaść między Kościołem greckim a łacińskim. Wiemy przecież, że idealny cel czwartej krucyaty został skrzywiony przez brudną handlową politykę Wenecyi. Wtenczas to chrześcijanie, zamiast walczyć z niewiernymi, w straszny sposób burzą Konstantynopol i świętokradzko znieważają jego kościoły. Wtenczas też wiele drogocennych skarbów i dzieł sztuki przeniesiono do Wenecyi. Wiemy doskonale, że działo się to wbrew woli Stolicy św., ogół jednakże narodu greckiego na Kościół katolicki zwala całą winę, bo widział, że takich nadużyć dopuścili się rycerze, ozdobieni znakiem krzyża świętego. Od tego to czasu datuje się przedewszystkiem bezdenna nienawiść Greków do wszystkiego, co łacińskie. Wiemy, że przy zdobyciu Konstantynopola wołał lud, że woli mieć nad sobą panowanie półksiężyca, niż poddać się papieżowi. Błędy tej nieszczęsnej polityki ówczesnych państw europejskich stara się dziś Kościół św., choć sam był zupełnie niewinny w tej sprawie, okupić dziełami miłosierdzia. Chcemy pokazać, ile to zasług w tej mierze położyło kolegium św. Benedykta.

Zbożne dzieło, które dzisiaj prowadzą nasi konfratrzy, nie oni rozpoczęli, ale O. O. Jezuici. W wieku XVII. Ludwik XIV, król francuski, podniósł upadłą tę fundacyę i oddał O. O. Jezuitom. Od tego czasu kolegium św. Benedykta stało się centrem, z którego rozchodzą się misyonarze na całe imperyum państwa tureckiego. Stąd O. O. Jezuici posyłali apostołów do Armenii, Persyi i Syryi, tu stąd założyli oni cały szereg innych centrów prac misyonarskich na Wschodzie. Za nich powstały domy i ogniska cywilizacyi chrześcijańskiej w Naksos,

na wyspie Santorin, w Tessalonice, Damaszku, Aleppo i w Anturze na Libanie. Kiedy jednak nastąpiła kasata tego zasłużonego zakonu, wówczas na wniosek króla francuskiego Ludwika XVI. Kongregacya Propagandy dekretem z 22/XI. 1782 r. oddała wszystkie domy Towarzystwa Jezusowego Zgromadzeniu św. Wincentego a Paulo. Zaraz też następnego roku, w uroczystość św. Wincentego, pierwszy wizytator, ks. Viguier, zamianowany równocześnie prefektem apostolskim całej Turcyi, wraz z 17 księżmi rozpoczyna pracę w Konstantynopolu. Ale już kilka lat potem, wskutek wybuchu rewolucyi francuskiej, zrywają się złowrogie chmury i zagrażają nowopowstałej prowincyi ruiną. Ks. Viguier odmówił przysięgi na konstytucyę, lecz mimo to zdołał się jeszcze kilka lat wbrew rządowi francuskiemu utrzymać na czele kolegium, gdyż ówczesny konsul francuski Ruffin nie wiele dbał o rozporządzenia rządu w tym względzie. Dopiero w czasie wyprawy Napoleona do Egiptu r. 1798, po uwięzieniu konsula francuskiego, wygnano konfratrów z kolegium, internowano ich w Palais de France, a na ich miejsce osadzono kapłanów świeckich. Burza ta jednak była tylko chwilową, bo już w r. 1802 znajdujemy konfratrów na nowo w kolegium i w tym też roku ks. Renard otwiera szkołę, która się stała jedną z pierwszych na Wschodzie. Lecz już w r. 1812 zamknięto szkołę z powodu wybuchu zarazy morowej w Konstantynopolu i nie otwarto jej aż w 20 lat później w r. 1831 w St. Stefano nad morzem Marmara. Kilka lat później przeniesiono tę szkołę do Bebek, przez 4 lata kierowali nią nauczyciele świeccy, sprowadzeni z Francyi, lecz w roku 1840 na nowo konfratrzy sami obejmują kierunek kolegium w Bebek i dopiero od tego czasu rozpoczyna się stały i świetny jego rozwój. Nie chcę kreślić właściwej historyi domu św. Benedykta, nie mogę wszakże nie wspomnieć trzech postaci tak wybitnych, jak ks. Bricet, superyor od r. 1822 do 1839, ks. Leleu, wizytator i prefekt apostolski od r. 1839 do 1846 i ks. Eugeniusz Boré, prefekt apostolski i superyor w Bebek od r. 1851 do 1866. Prześliczne sylwetki ks. ks. Bricet i Leleu

zostawił nam w swojej korespondencyi Eug. Boré, który za ich czasów, jako urzędnik francuski, bawił w Konstantynopolu i żywy brał udział w pracach naszych konfratrów na Wschodzie. Eugeniusz Boré wówczas już żywił najgłębszy szacunek dla ks. Leleu, który był jego ojcem duchownym i przyznaje, że on to przykładem i cnotą swoją pociągnął go do wstąpienia w szeregi misyonarskie, chociaż wierny zasadom św. Wincentego, póki żył, nigdy na ten krok Eugeniuszowi Boré pozwolić nie chciał. Po śmierci też dopiero ks. Leleu wstępuje Eugeniusz Boré do Zgromadzenia. Ks. Bricet największe zasługi około Kościoła położył w czasie prześladowań Ormian, którzy go też powszechnie nazywali ojcem swoim. Wtenczas było straszne położenie katolików na Wschodzie. Jak widzimy z nader licznych korespondencyi, przedrukowanych we francuskich Rocznikach Zgromadzenia, największym wrogiem wszystkiego, co katolickie, była Rosya, która aż do roku 1854, do wojny krymskiej, wywierała na rząd turecki potężny i jedyny wpływ. Jej to inicyatywie należy przypisać wszystkie firmany, wydane na niekorzyść katolicyzmu, a ze szczególniejszą zaciekłością prześladowała Rosya w Turcyi wszystkich unitów. Łacinnicy na Wschodzie znajdowali obronę w konsulatach europejskich, unici natomiast będąc obywatelami tureckimi, byli zdani zupełnie na łaskę i niełaskę rządu, podżeganego przez Rosyę. To nam też tłómaczy, dlaczego Eug. Boré, jeszcze jako świecki człowiek, tak bardzo pragnął upokorzenia Rosyi i to nam także wyjaśnia, czemu on później wojnę krymską uważa za dalszy ciąg krucyat. Istotnie też po tej wojnie wybiła nowa era dla katolicyzmu w Turcyi. W takich tedy warunkach opatrznościowym doprawdy człowiekiem był ks. Bricet, dla biednych i uciemiężonych Ormian. Bronił ich z iście bohaterskiem męstwem, gdyż rzeczywiście podobne postępowanie narażało go na wiele nieprzyjemnści ze strony władz tureckich. Bramy jego domu stały na oścież otwarte dla setek rodzin ormiańskich, które tam znajdowały bezpieczne schronienie wobec rozfanatyzowanych tłumów. Nawet władze tureckie nie mogły ich tam ścigać,

gdyż dom św. Benedykta, jak wogóle wszystkie podobne instytucye europejskie na Wschodzie, cieszy się przywilejem eksterytoryalności, t. j. nawet zbrodniarza nie śmie policya szukać w tego rodzaju domach, tylko wydać go może odnośny konsul, pod którego opieką dom zostaje. Ks. Bricet żywił długi czas liczne rodziny Ormian, on przechowywał ich mienie, z tymi zaś, co byli na wygnaniu, utrzymywał stałą korespondencyę, posyłał im zasiłki materyalne do wszystkich części państwa otomańskiego. Zasłużył sobie przeto w całem słowa znaczeniu na miano ojca Ormian, a także dla Kościoła katolickiego uratował tę cenną część owczarni, którą zagrabić chciała schizma.

Za ks. Briceta żyje równocześnie w Konstantynopolu dwóch innych wybitnych bardzo konfratrów, ks. Delmas i wspomniany ks. Leleu. Ks. Delmas, przedewszystkiem matematyk i astronom, założył pierwsze obserwatoryum astronomiczne w Stambule, do czego użył średniowiecznej dzwonnicy. Utrzymywał stałe stosunki z paryskiem obserwatoryum i oddawał mu wielkie usługi, on także przyczynił się znacznie do rozwoju muzeum fizyczno-przyrodniczego, które dziś jest chlubą tego domu. Na szczególniejszą jednak uwagę zasługuje ks. Leleu, obok ks. Eug. Boré, jedna z najwięcej światłych postaci, które żyją w tym domu. Ks. Leleu, przedewszystkiem lingwista, w krótkim czasie zaznajomił się doskonale z językiem tureckim, tak że nawet mógł głosić kazania w tym języku. Zasługi jego około kolegium są niezmierne, możemy go słusznie uważać za założyciela szkoły św. Benedykta, on ułożył jej plan. Za jego już czasów kolegium postawiono na równi z liceami francuskiemi, tak iż odtąd świadectwo, wydawane abituryentom, dawało uczniom wstęp do wszystkich wyższych szkół we Francyi. Za jego też rządów powstał pierwszy dom Sióstr Miłosierdzia w Konstantynopolu, la Providence, który stał się matką wszystkich dzisiejszych tak licznych domów siostrzyńskich w Turcyi. Za jego też czasów powstała przy kolegium drukarnia, aby w najwięcej rozpowszechnionych językach w Turcyi rozszerzać dobrą

prasę katolicką. Przedewszystkiem jednak ks. Leleu dla nas, Polaków, jest niezmiernie sympatycznym, bo on pierwszy zajął się tak mocno uciskanymi Polakami w Turcyi i jego, jak to zaraz pokażemy, możemy słusznie uważać za współzałożyciela polskiej kolonii w Adampolu. Za rządów ks. Eug. Boré wybuchnęła wojna krymska, która stanowi nowy zwrot w rozwoju naszych domów w Turcyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Wilhelm Michalski.

Z Parany.

Coraz bardziej spełniają się nadzieje, wyrażone w Rocznikach w r. 1903, kiedy słowami „Szczęść Boże“ żegnano pierwszą gromadkę Misyonarzy, płynących za daleki Ocean na trudy misyjne wpośród wędrujących rodaków. Na dwadzieścia trzy domy naszej prowincyi, jakie zapisuje Schematyzm Zgromadzenia na r. 1909, sześć przypada na Paranę: Abranches, Lucena, Orleans, Prudentopolis, Rio Claro, Thomaz-Coelho. Trzy już także posterunki mają SS. Miłosierdzia: Abranches, Mateusz, Prudentopolis. — W szeregu listów z Parany lub notatek w kronice podawały Roczniki (od r. 1903) obfite wiadomości geograficzne i etnograficzne, a nadto mnóstwo szczegółów o pracy Konfratrów i SS. Miłosierdzia. Dzisiaj możemy dorzucić do tego wiele nowych rzeczy o dawnych i świeżych posterunkach w Paranie i o obfitych plonach pracy współbraci naszych, korzystając ze sporego materyału korespondencyi.

Pomimo sporadycznie pojawiających się trudności, jak zwykle wśród takiej mieszaniny różnych narodowości, stosunki układają się pomyślnie, a przyszłość zapowiada się bardzo dobrze. Bardzo pocieszającym, naprzykład, objawem jest harmonia obecna między Polakami a Niemcami i Brazylianami w Prudentopolis.

O. Generał w cyrkularzu noworocznym winszuje Konfratrom z prowincyi pruskiej, że „oprócz ciągłych misyi i rekolekcyi mają jeszcze tę pociechę, że głoszą Ewangelię biednym Indyanom w rzeczypospolitej Costa-Rica“. I na nas może czekają sąsiadujący z polskimi emigrantami Indyanie, czy spokojne plemię Guarani czy nawet dzicy Botokudzi? *Videte regiones, quia albae sunt iam ad messem.* Na razie

powiedzieć musimy: *Żniwoć wprawdzie wielkie, ale robotników mało.* Musimy naprzód patrzeć na rodaków *rzesze, iż byli strudzeni i leżący, jako owce nie mające pasterza.*

Prudentopolis.

List ks. Mięsopusta do ks. Wizytatora z dnia 19. listopada 1908 r.

Wycieczka apostolska na kolonię *Xavier da Silva.* — Znajduję się od trzech dni pomiędzy swoimi na kolonii, nazwanej od obecnego prezydenta stanu, 6 mil od Prudentopolis. Miejscowość to całkiem górzysta, leżąca wzdłuż pasma górskiego „Serra da Esperanza", ciągnącego się od ostatnich krańców naszej kolonii, aż pod Rio Claro. W przyszłości może się dość rozwinie, bo znajduje się między dwoma miasteczkami: naszem i Iraty, w pobliżu Rio Claro, i będzie miała 7 mil do kolei.

Dzisiaj zaszło tu dla nas bardzo ważne zdarzenie. Miano tutaj tworzyć kolonie narodowe. Takie rozporządzenie wydał najwyższy szef kolonizacyjny, p. Corrêa w Kurytybie. Wpłynął na nie głównie p. konsul. Sfery ruskie również uważały je dotąd za najlepsze. Nagle postanowiono mieszać albo najdalszą i najgorszą kolonię (B) dać Polakom, mimo że im kolonia (E), idąca do kolei i najlepsza, była przyrzeczoną. Niezadowolenie między Polakami było ogromne. Proszono mnie, abym szefowi sprawę przedstawił. Uczyniłem to dwukrotnie. W odpowiedzi usłyszałem, że Polacy nie będą mieszani, ale o linii (E) nie było mowy. Tłómaczył się, że tam tylko 20 szakrów będzie kolonizował i że pójdą tam Rusini, a Polacy na kolonię (B). Rola moja między kolonistami a rządem była skończona. Potajemnie radzono nad tem, co czynić. W kilka godzin wszyscy Polacy znajdowali się w domu szefa ze swojemi żądaniami. Na wszystko się zgodzono, cała linia (E), mająca mieć 3 mile, zostawiona Polakom, otrzymają z pośród siebie agromessora, dzisiaj cała turma z szefem na czele jechała wytyczyć drogę. W sobotę agromessor

otrzymuje niwelator, a w poniedziałek przystępują do pracy. Zapytał się szef, czy także Polacy z Galicyi chcą łączyć się z Polakami z Rosyi. Wszyscy odpowiedzieli, że tak.

Dzisiaj fotografowaliśmy się wszyscy obok domu, w którym mieszkam, będącego własnością niejakiego Nowackiego. Pierwszy wśliznął się w te lasy. Przyjechał nawet już z Kurytyby swoim wózkiem. Ponieważ jeszcze drogi nie było na tutejszej kolonii, więc gdzie się nie dało jechać, rozbierał wóz i nieśli go na rękach. W centrum nie było jeszcze nic określonego, gdzie będzie miasteczko albo gdzie można budować, chciano zwlekać; powiedział, że nie będzie czekał, że tnie drzewo na deski, buduje dom, a potem za jego domem niech wymierzają drogę. Na razie służył mu za mieszkanie namiot z 20 m. płótna.

Może stworzymy drugą szkołę na 2 mile stąd i podobnie jak na Lamenię jedna z Sióstr tamby dojeżdżała. S. Jerzykiewicz wyraziła już S. Wizytatorce życzenie, aby jej przysłała czwartą Siostrę. Rzeczywiście, nie mogą podołać pracy. Tam, gdzie chcemy szkołę założyć, jest węzeł $^1/_3$ naszej parafii. Rozpocząłem tam jeździć na katechizm. Byłem tam dopiero dwa razy. Pierwszy raz miałem 50 dzieci, drugi 79. We Wigilię dzieci szkolne odgrywają tutaj jasełka, 6. stycznia mężczyźni polacy.

W kościele drugim, nie polskim, pracujemy tak, jak możemy. Mówimy po niemiecku i po portugalsku kazania, a wkrótce rozpocznę katechizm dla Brazylian. Ks. Ździebło bardzo się czuje szczęśliwy w Prudentopolis. Nie wiem, czy Prudentopolis nie będzie potrzebowało kiedyś, i to wkrótce 3 Księży. W każdym razie niech ksiądz Wizytator już zwróci na to uwagę. A może będzie musiał jeden choć mieszkać tu, gdy kolonia się utworzy.

W wielkiem tempie odbywa się kolonizacya. Już odbieram z Miguel Calmon list, abym na 21. tego miesiąca tam się zjawił — jest to pewnie niemożliwe, bo dziś zrobiłem 6 czy 7 mil drogi, a tam 8 blizko mil. Proszą mnie, abym jechał miejsce z nimi obrać i poświęcić na kościół

i szkołę. Na razie chcą już prowizoryczny kościółek stawiać. Nad to wszystko 7 mil od miasta inna już wzniosła się kolonia.

List z dnia 10. grudnia 1908 r.

Przemieniłem się w nowych warunkach w misyonarza podróżnego i niemal jestem ciągle w drodze. Po ostatnim liście byłem w Miguel Calmon, na Niepokalane Poczęcie u Brazylian na odpuście („feście"). 19. grudnia jadę na Xavier da Silva, wrócę 21. i znów jadę 25. na Miguel Calmon. Piękne choć nie łatwe zadanie przeznaczył Pan Bóg temu domowi! Podejmujemy się go dla Pana Boga i dla Zgromadzenia.

Dziewiętnastego listopada odprawiły Siostry egzamin. Ludzi przyszło dużo, ale wielu żałowało, że nie przyszło nań, bo nie wiedzieli, że tak wspaniale wypadnie. Powiedziałbym, to nie był egzamin, ani nawet popis, ale dla słuchaczy prawdziwa rozrywka, połączona z zadowoleniem u dzieci z ich popisu. Widziałem, jak jednej matce stanęły łzy w oczach, gdy jej dowcipna córeczka, deklamując wierszyk o matce, wskazała ją paluszkiem, życząc sobie, by jak najprędzej przepasała się fartuszkiem i pomocną jej została. Z osób znaczniejszych był na egzaminie p. Lech i lekarz Dr. Pedro Mello, przysłany przez rząd dla kolonistów. Życzyłbym sobie, aby mogła powstać na linii, o której już wspomniałem, nowa szkoła polska — choć trzy razy mogłyby Siostry dojeżdżać, a tyle dobregoby zdziałały. Rusini już odbyli zebranie, aby wielką stworzyć tam szkołę, bo schodzi się tam bardzo wiele dróg. Ale trudno wymagać tak wiele od trzech Sióstr, a chorych najmniej zaopatrują codziennie z 50. S. Jerzykiewicz tak sobie ujęła Niemców, że wszystko jej przywożą z Ponta Grossy, co potrzebuje, a nawet wczoraj jeden przywiózł im drzewa, i co dziwnego, jeszcze i nam furę. Spodziewają się na Nowy Rok dużo dzieci niemieckich — nie wiem, czy możliwą byłoby rzeczą, aby się zebrało 40, ale tak Siostry mówią.

Po Nowym Roku będziemy mieć ministra u siebie, młodego, 28-letniego Miguela Calmona.

Dzwony już ulane, jeden 237 kg., drugi 156 czy 157, po 4 mile.

Na Miguel Calmon już prawie wszyscy osiedleni. Spotkałem ostatni raz w barakach tylko 40 rodzin. Nie wiem dokładnie, ilu tam mamy naszych. Mówił mi jeden dozorca baraków, u którego ja po większej części staję, że ma być Rusinów 325 rodzin, a Polaków 225. Liczba jednak, zdaje się, jest przesadzoną, bo dyrektor wspominał mi tylko o 398 rodzinach osiedlonych. Razem z 40 powyższemi rodzinami byłoby 438. Rusini już między sobą uzbierali na cerkiew 2700 guldenów, a nasz kościół buduje rząd za 10.000 milów, a plac już równają. Według obietnicy ma już dyrektor przystępować do budowy kościoła po Nowym Roku, ale kto wie, co się stanie, gdy nadejdzie napływ nowych emigrantów.

Starsi koloniści przyznają, że podczas pierwszej i drugiej kolonizacyi nie odbierali koloniści tego, co dziś rząd daje. Wszędzie robią drogi; gdzie można dojechać, dają im wóz, gdzie nie, konia lub muła. Każdy dostaje narzędzia rolnicze, w dodatku, chce mieć kto kózkę, otrzymuje ją; mówią nawet, że dyrekcya chce dostarczać na życzenie konia lub krowę. Naturalnie będą musieli wszystko zapłacić, ale kiedy i czy wszyscy? — bo wielu ucieknie, inni poprzenoszą się w inne strony. Są narzekania, ale często nieuzasadnione. Warunki znajduje tu osadnik takie: Szakier 350, dom 400 milów. Do roboty rządowej jest obowiązany 15 dni w miesiącu. Za dzień płacili z początku 3 mile, teraz ustąpili na półtrzecia. Jeśli najmniej wyrobi immigrant 15 dni, otrzymuje prawo do książki, na którą bierze wikt z wend koncesyonowanych. Co więcej nadbierze, liczy mu się za dług, ale prawdopodobnie rząd go umorzy. Na głowę każda rodzina bierze 500 rejsów[1]), (do niedawna 600), a to od 3 lat

---

[1]) 70 hal

wzwyż. Ustawa nie przewiduje, jak mają żyć dzieci, które jeszcze nie skończyły trzeciego roku. Na tej kolonii jednak dyrektor dwoje dzieci niżej trzech lat bierze za jedno dziecko powyżej trzech lat i wpisuje im dziennie 500 rejsów. Z książką przychodzi się dwa razy w miesiącu po zatwierdzenie, za ile dyrekcya pozwala w sklepie brać.

Rzeczą najbardziej dotkliwą dla naszego kolonisty jest to, że długo musi czekać na szakry. Spotkałem jednak kilku żalących się na to, lecz nie całkiem z uzasadnieniem, bo raz po raz opierali się iść tam, gdzie ich przeznaczali, a kolonista jeszcze na razie nie wie i nie może osądzić, gdzie mu lepiej będzie. Niemało kłopotu naszym Galicyanom narobili Łodziacy. Nikt z nimi łączyć się nie chciał — ale postąpił tu p. Kamiński doskonale, bo dał ich na osobną kolonię tzw. Rio dos Indios, gdzie ich jest 15, a między nimi jeden tylko Galicyanin, Antoni Gawron, ośmnastoletni człowiek żonaty, którego nazywają Rusinem, z czego jednak sobie nic nie robi, tylko spokojnie uprawia ziemię, a nocą czyta. Patrzą też na niego międzynarodowi weterani bojówki i socyalizmu z zazdrością, jak jego żyto dojrzewa, a kukurydza wyrasta, a u nich pustki, a w przyszłości głód; bo wprawdzie rząd obecnie znowu przedłużył na Miguel Calmon zasiłek rządowy w formie tutejszych *vale* czyli książeczek, na które jeszcze przez dalsze sześć miesięcy wolno brać żywność, ale trzeciego już przedłużenia nie będzie. Piszę dla nich do Kurytyby po wędki, aby sobie choć ryby łowili, gdy głód ich ściśnie.

Polacy dotychczasowi otrzymali bardzo dobre linie. Pod samem miasteczkiem na linii Rio Bramo osiedlili się poczciwi Jarosławianie w liczbie 7. Inni Polacy to częścią Królewiacy, częścią Galicyanie. Linia ta jednak jeszcze niedokończona. Ma zejść się w przyszłości tam z kolonią Prudentopolis, gdzie byliśmy wraz z księdzem Wizytatorem u wodospadu wielkiego. W bok zaraz przy miasteczku idzie druga linia „vicimal Rio Bramo“, również w znakomitej większości Polacy. Początek głównej drogi, idącej ku Terezynie, która od północy

znowu ma złączyć się z nowo powstałą kolonią Corrêa na obszarze Prudentopolis, albo przynajmniej z naszem municypium, jest osiedlony przez Niemców, później głównie przez Rusinów, ale nie brakuje tam też Polaków galicyjskich; dalsza zaś część tej linii, zwana Prudentopolis, 2 mile od miasteczka, ma samych tylko Polaków, dochodzących od 80—100 rodzin. Sekcya trzecia linii Saô Rogue, inaczej linia Silvino Farria, ma 24 rodzin polskich z Galicyi, z kilku Polakami z lubelskiego, piotrkowskiego i siedleckiego powiatu, do których się jeszcze w ostatnim czasie przyłączył rolnik z warszawskiego, niechcący łączyć się z bojowcami. Przykro mi było ostatni raz, bo na mszy św. miałem zaledwo samych tylko Polaków z Galicyi z przymieszką może tylko dwóch czy trzech rodzin z Kongresówki.

Spotkałem i Ślązaka tutaj, niejakiego Skowrońskiego z Katowic, uwielbiającego p. Korfantego, trudniącego się tu wyrobem cygar i sprzedażą kóz dla dyrekcyi. Ma na każdej kózce jakie 5 milów [1]) zarobku, bo ją sprzedaje za 15, 20 milów, a taniej nabywa.

Interesującą była moja katabaza. Nie chciałem wracać zwyczajną drogą, bo od czasu, jak napadli tam Brazylianie na naszego parafianina i odebrali mu cały zarobek, z którym wracał, lęk mnie zbierał. Puściłem się kolonią Rio Bramo, dążąc ku Barra Vermelho nad rzeką Rio dos Patos. Koń trzy razy mi upadł. Przyjeżdżamy nad rzekę, rzeka wezbrana — musieliśmy dwie godziny czekać, aż zlitował się nad nami Brazylianin, przewiózł nas łódką, a konie sam przeprowadził. Nie minęliśmy jeszcze gór, a deszcz jak z cebra lunął i padał jakie trzy godziny. Cały tak zmoczony jechałem jeszcze dalsze dwie godziny. A ramię prawe jeszcze wczoraj czułem, gdym się kładł na spoczynek, bo w Niepokalane Poczęcie i w dzień przedtem widziałem wprawdzie pokój, jeśli można mówić u Brazylian o pokoju sypialnym, ale oczy się nie zawarły.

---

[1]) 7 kor.



Kościół Księży Misyonarzy w Rio Claro.

Wracam jeszcze do festy, o której zaraz na początku wspomniałem. Była to festa nad festami; pewnie rzadko który z Księży taki odpust odprawił. Wzdłuż rzeki Rio dos Patos, w południowej stronie od miasta, znajduje się osada brazylijska Patos Velhos, 3 mile od nas. Jest to miejscowość, według granic podanych przez Księdza Biskupa, do nas należąca, o którą jednak upominam się, bo dotychczas proboszcz z Kupim tam zawsze dojeżdżał, a Ks. Biskup, określając granice, nic jednak nie wspomniał, że tę część wydziela z Kupim, mówiąc tylko o oddzieleniu Prudentopolis od Gwarapuawy i ustanawiając granice parafialne w obrębie municypium, do którego jednak wówczas jeszcze Patos Velhos nie należało. Miejscowość to zapomniana, w głębi lasów, zostająca bez opieki duchownej, bo do niedawna proboszczem był staruszek, nie bardzo gorliwy i schorzały. Dzisiejszemu zaś proboszczowi też trudno było docierać do tego zakątka, mając rozległą parafię. Podobno też tu najbardziej opuszczeni ludzie. W czasie misyi naszych Konfratrów wprost niektórzy drwili z księdza. Widziałem, że podczas mojej mszy św. wielu bardzo było na polu — ma tu nawet być, jak mi mówił nasz notaryusz, pewien młodzieniec, zasługujący wprost na imię bandyty.—Ale już ks. Wizytator musi być zaciekawiony, co się tu stało. Wielkiej strzelaniny nie było jak tu przyjechałem, fogiety nie pochłonęły setek, ani tysięcy. Zrobiłem przed 2 latami pod Miguel Calmon w Bom Jardim festę z polecenia OO. Verbistów, do których wtenczas należała ta miejscowość, i widziałem młynki i słońca po 30, 50 milów, a od 8. wieczorem paliły się ognie do 12. w nocy. Wprawdzie i bale muszą być przy takich uroczystościach i kapelę trzeba sprowadzić, dość, że festa kosztowała ni mniej, ni więcej, tylko 1300 milów, mimo to, że ja podziękowałem za wszystko, a 30 milów które mi festeiro, t. j. ten, co urządza wraz z drugim jeszcze kolegą i 2 paniami, również festeirami, takie uroczystości, wcisnął do ręki, wprawdzie przyjąłem, ale zaznaczyłem, że ofiaruję je na kościół brazylijski. Tu takiej uroczystości nie było, bo Patos Velhos w porównaniu do

Bom Jardim (piękny ogród, wpierw Enszuwia, loch podziemny), to dziura, niema tam wielu ludzi bogatych. Było jednak strzelanie, ale festejon tylko kosztowało od 350 do 400 milów najwięcej wraz ze wszystkiem; ale było inne strzelanie, smutne, bo odebrało życie Paragwajczykowi. A powód najwstrętniejszy, nie całkiem jeszcze wyjaśniony, o który lepiej nie pytać. Dość, że wszczęła się walka o markietanki. Zbrodniarz uciekł, inni wspólnicy siedzą we więzieniu. Nieszczęśliwy Paragwajczyk był właściwie Gwarańczykiem. Nie wiem, co ma oznaczać jedna rzecz, którą widziałem, bo jej nie spostrzegłem nigdy u Brazylian. Dowiedziawszy się o wypadku w 2, albo 3 godziny później, poszedłem do nieszczęsnego domu. Leżał na macie, a w ustach miał miedzianą monetę, tutejszy wentyn, czyli 20 rejsów.

Festa jednak była. Strzelały fogiety, karciarze przegrywali pieniądze, gitara grała do późnej nocy, a dzikie śpiewy denerwowały spokojnych ludzi. Na drugi dzień odbył się pogrzeb. Prowadziłem nieboszczyka na cmentarz — spoczywał w trumnie, a nakryty był białem płótnem, nie było jednak wieka — w grobie odsłonili mu twarz i tak zasypali go ziemią. Wprost po pogrzebie udali się wszyscy na bal. Lepsi do wspanialszego domu, gorsi do mojej gospody. Inteligencya tańczyła polki, walce i kadryle, a motłoch fandango, które o mało skóry z człowieka nie złupi, gdy odezwą się peany, a nogi bezlitośnie zaczną znęcać się nad podłogą, a równocześnie ręce sprawność swą okazywać w klaskaniu. Jednej tylko jeszcze rzeczyby trzeba, mlaskania Kafrów.

Pisze równocześnie list do księdza Wizytatora ks. Ździebło. Zrobił on w dzień przed Niepokalanem Poczęciem blizko 10 mil naszych, 60 kilometrów, będąc za mnie na katechizmie, a potem u chorej.

Przyślę wkrótce Księdzu Wizytatorowi kilka fotografii z chatek z Xavier da Silva i Miguel Calmon, nadto fotografię dzieci szkolnych.

List ks. Ździebły do ks. Wizytatora z dnia 11. grudnia 1908 r.

Pierwszego grudnia odbył się u nas egzamin dzieci szkolnych. Zapowiedzieliśmy to kilka razy z ambony, więc ludzi nazbierało się dużo, nawet z dalekich kolonii przychodzili ludzie z dziećmi, by się przysłuchać egzaminowi, a zarazem i zachęcić swoje dzieci do nauki. Co mnie rzeczywiście dziwiło, to że dużo Niemców i Niemek przyszło na egzamin dzieci polskich, a słuchali jeszcze z większem zajęciem, niż sami Polacy. Dziwili się, gdy zobaczyli, jak małe — nawet siedmioletnie — dzieci polskie pięknie czytają, piszą i w główkach różne rachunki kombinują. A zachwyt był jeszcze większy, gdy nasze maleństwa zaczęły się popisywać wiadomościami z zakresu historyi polskiej, historyi naturalnej, geografii, astronomii, śpiewu i wierszyków. Wyglądało to bardzo ładnie i pocieszająco, że dzieci, wyrosłe w dzikich lasach, przyzwyczajone do uganiania się za papugami i rozmaitem innem ptactwem, w tak krótkim czasie zrobiły tak wielkie postępy. Zwłaszcza wierszyków umiały dzieci niezliczoną ilość, a wszystko to dobrane i ładne, a patryotyczne wierszyki, nie wybębnione na pamięć, ale wydeklamowane, z gestami i z modulacyą głosu. Bardzo się to wszystkim podobało, a matki od radości aż płakały, a po skończeniu tego wszystkiego mało co nie przyszło do bójki między uradowanemi matkami, bo każda utrzymywała, że jej dziewczynka lub synalek wygłaszał najładniejszy wierszyk i najlepiej. Musiałem się wmieszać w ich spór, by przecież do takiego skandalu nie dopuścić — no i udało mi się. Oprócz popisu ze scyencyi, był jeszcze popis ze zgrabności, więc dziewczyny z tańca, a chłopcy ze żołnierki. Wszystko to odbyło się na wielkiej, ładnie udekorowanej scenie, którąśmy na pociechę Siostry Przełożonej zawczasu wybudowali — a na jaki cel, zaraz napiszę. Każdy chłopak był ubrany w szarfę polską i krakuskę, a do ręki dostał chorągiewkę, którą rozmaite żołnierskie sztuki pokazywał. Kilku zaś chłopców miało na sobie oznaki brazylijskie. Wszystko było ładne, ale najciekawszy to oficer-Siostra, która tem

komenderowała. Na końcu był jeszcze dowcipny dyalog, a następnie żywy obraz Anioła Stróża. O pierwszej godzinie po południu skończył się ten pierwszy egzamin, a raczej popis w Prudentopolis, prawdziwa uroczystość dla Polonii prudentopolskiej. Niemcy proszą, aby się Siostry i ich dziećmi tak zajęły.

Podczas gdy Siostry oddziaływują przez szkołę i jasełka, które przygotowują, trudno, bym ja siedział spokojnie. Zabrałem się więc do odrestaurowania „Towarzystwa św. Antoniego", które już było upadło i do wystawienia jakiej sztuki teatralnej. Wybudowaliśmy więc scenę w szkole i wszystko co potrzebne, za blizko 500 milów, a wszystko czysto po polsku z domieszką niektórych drobnostek brazylijskich. Jedyny kłopot, że nie mam wyboru sztuk teatralnych. Trzeba więc czekać na transport z Europy. Scena jest własnością Towarzystwa, ale ja myślę potem i jaką sztuczkę brazylijską wystawić, to będzie radość dla Brazylian, a może się przez to da na nich wpłynąć i religijnie. Naprzód jednak muszę się dobrze nauczyć po brazylijsku, więc ks. Superyor wysyła mnie do Kurytyby na jakie 4 miesiące; ja chętnie jadę, bo widzę, że bez brazylijskiego języka ksiądz tu jest niczem.

Rio Claro.

List ks. Kandory do ks. Wizytatora z dnia 4. grudnia 1908 r.

U nas w Rio Claro obecnie panuje spokój między Polakami, zato wojna toczy się między Rusinami. Po śmierci ś. p. Nikona Rozdolskiego objął zarząd parafii ks. Cyryl Simkiw, Bazylianin. Prześladowany, ponieważ jest monachem, a oni chcą świeckiego księdza, opuścił rezydencyę i przeniósł się na inne miejsce, zakupił szakier i swoim kosztem wystawił cerkiew, piątą z rzędu na kolonii. Nieprzyjaciele jego sprowadzili ks. Pawła Petryckiego, który mimo zakazu biskupiego osiadł na kolonii i większość kolonistów poszła za nim, mimo iż ks. Biskup ogłosił, że wszystkie jego funkcye są nieważne. Lud nie wiele dba o to i Pan Bóg wie, jak się

to skończy, bo tutaj nurtowała już dawniej myśl kościoła niezależnego.

Dziwna kolonia! to co się obecnie dzieje między Rusinami, miało miejsce i między Polakami. Sprawował tutaj przez rok funkcye ks. Tadeusz Stankiewicz, nie przyjęty do dyecezyi przez Biskupa miejscowego. Kiedy zaczęto budować kościół w Rio Claro, w centrum część kolonistów zbuntowała się i zaczęła budować kościół 6 klm. od Claro mimo zakazu biskupiego, łudząc się, iż kiedy skończą, otrzymają księdza. Tak stał przeszło 10 lat, zezwolenia na odprawianie w tym kościele nie otrzymali; skoro zjawił się Stankiewicz, przyjęli go z otwartemi rękoma. Byłaby ta schizma trwała długo, ale występki tego zbłąkanego kapłana przyprowadziły ludzi do opamiętania się. Czego klątwa nie dokazała, tego one dokazały, i powoli opuszczali wszyscy tego kapłana. Kiedy mnie wyprawiono do Rio Claro, otrzymałem pozwolenie na odprawianie nabożeństwa w tym kościele, ale takowe później mi odjęto. Ludzie mieszkający za tym kościołem nie chcąc należeć doń, mijają go, stąd kłótnie i walka. Zresztą kościół to nie wykończony, potrzebaby tysięcy, których trudno od ludzi dostać.

Kościół w samem Rio Claro, przy którym obecnie mieszkamy, przechodził także różne koleje. Z powodu nieporozumień między ludem a pasterzem miejscowym kościół był zamknięty i blizko przez rok nie pozwolono w nim odprawiać nabożeństwa miejscowemu proboszczowi. Starano się o innego księdza, a wykluczono tylko Misyonarza.

Takie położenie zastałem, kiedym tutaj zjechał 13. lutego. Kościół otwarto mi dopiero na trzeci dzień, przyczem nie obeszło się bez komicznych scen. Dzisiaj, dzięki Bogu, już jest dobrze. Dzisiaj praca idzie zwykłym trybem. Wyspowiadaliśmy dotąd około trzech tysięcy ludzi, trochę to za mało na tak wielką kolonię.

Mieliśmy tutaj dwie uroczystości, na pozór zwykłe, bo się corocznie w każdym kościele odprawiają, u nas jednak miały jakiś nadzwyczajny urok i ludzie sami powtarzali ciągle



Dzieci po pierwszej Komunii św. w Rio Claro.

„Czegośmy się to doczekali“. Mam tutaj na myśli dzień pierwszej Komunii św. i odpust na Matkę Boską Różańcową. Ponieważ prawie rok nie było nabożeństwa, zebrało się dziatwy aż do 130. Przygotowałem tę rzeszę ucząc katechizmu dwa razy tygodniowo od Wielkanocy aż do 8. września. Na ten dzień naznaczyłem tę ważną chwilę. We wigilię Narodzenia Matki Boskiej wysłuchaliśmy spowiedzi wszystkie dzieci z ks. Dejewskim, który 2. września zjechał do Rio Claro. W samo święto od samego rana gromadziła się dziatwa na plebanii, gdzie rodzice przystrajali dla niej świece. O godzinie 10. wyszedłem z kościoła procesyonalnie po dzieci, pokropiwszy je wodą święconą i zaintonowawszy „Kto się w opiekę“, prowadziłem je przy odgłosie dzwonów aleją wysadzoną drzewami aż do kościoła, gdzie zajęły miejsce przed balustradą. Zaczęła się Msza św., w czasie której przemówiłem do dzieci o ważności tego dnia pierwszej Komunii, jakie to szczęście dla nich, jakich to łask dostąpią, kazałem im się modlić i za tych, którzy zapomnieli już przystępować do Pana Jezusa. Po odmówieniu aktów rozdałem wszystkim Komunię św.

Zaraz po Mszy św. odnowiły dzieci obietnice, dane na Chrzcie św., oddały się ponownie na służbę Bogu, wyrzekły się szatana, oddały się opiece Najśw. Maryi Panny. Ażeby sobie ten akt ważny często przypominały, zawiesiliśmy na piersiach każdego dziecka szkaplerz Niepokalanego Poczęcia

Po skończeniu nabożeństwa zjadły porządne śniadanie na plebanii, poczem wszystkie odfotografował ks. Dejewski ku wielkiej radości wszystkich. Dzisiaj ciągle dopytują się, czy fotografie gotowe?

Drugą niemniej ważną uroczystością był odpust na Matkę Boską Różańcową. Zjechali z Thomaz-Coelho i z Orleansu ks. Bayer i ks. Kołodziej. Nie mogliśmy wyjść z podziwienia, kiedyśmy zobaczyli ks. Kołodzieja na koniu; po błocie, deszczu zrobił 24 kilometry i cało przyjechał. W deszczu przyjechali, w deszczu odjechali, ale zato w czasie odpustu panowała

prześliczna pogoda. To też już we wigilię uroczystości ciągnęły tłumy do kościoła, przystrojonego palmami i girlandami. O godz. piątej wyszły uroczyste nieszpory, które celebrował Przew. ks. Superyor Bayer, a psalmy odśpiewał chór dziewcząt, wyuczony przez ks. Dejewskiego. Reszta księży spowiadała. Sam dzień odpustu wypadł wspaniale, bo pogoda sprzyjała, to też wozów mnóstwo otoczyło kościół wkoło, bo z daleka przyjechali. Sumę celebrował Przewielebny ks. Superyor Bayer, a kazanie wypowiedział pięknie ks. Kołodziej. We wstępie powiedział, że tylko to powie słuchaczom, co mu serce mówi o tej Matce Boskiej, i serce mu wiele mówiło, bo mówił przez godzinę, chwaląc naszą Matkę. Różańcem i procesyą zakończyliśmy tę uroczystość.

Teraz rozpoczęły się żniwa, to też pracy nie wiele mamy, ale po Nowym Roku rozpoczniemy jeździć do szkół z katechizmem. Mamy tutaj 6 szkół na kolonii. Każda prawie linia ma swoją szkołę. Szkoda tylko, że trudno znaleźć dobrych nauczycieli.

Przybyło nam teraz nieco pracy, bo po wielu trudnościach otrzymałem pozwolenie na odprawianie nabożeństwa w kaplicy na S. Pedro. Dojeżdżamy tam raz w miesiąc na kilka dni, a potrzeba dla tych ludzi posługi duchownej, bo niektórzy z nich mają przeszło 40 kilometrów do Rio Claro, to też albo całkiem nie chodzą do kościoła albo idą do cerkwi, która teraz stała się schizmatycką. Potrzeba nam ich ratować. Pracy nam nie zabraknie.

Z listu ks. Dejewskiego do ks. Wizytatora z dnia 30. grudnia 1908 roku.

Lud tutejszy przypadł mi mocno do gustu, więcej nawet, niż na Thomaz-Coelho. Nie znaczy to wcale, żeby w Rio Claro byli lepsi, wcale nie! Cały rok zawziętej i z bezwzględnością prowadzonej walki, potem rok bez pociech religijnych, a z pociechami bezreligijnych emisaryuszów: to zro-

biło swoje i długo jeszcze będzie trzeba to leczyć; ale na ogół charakter tutejszych kolonistów ma wiele cech tak pięknych, że odrazu do serca drogę torują. Naród z Galicyi, jak na Thomaz-Coelho jest pracowity do zapamiętania, jest głęboko religijny, do kościoła i księdza przywiązany, ale jakiś melancholijny, prawie że ślamazarny, mało odważny, pozbawiony wszelkiej przedsiębiorczości. Lud z Królestwa, jak na Rio Claro, to jego antyteza. Przypomina tych naszych kresowców z czasów Rzeczypospolitej, pełnych życia i ognia, w których nadmiar sił życiowych wylewał się w bitkach i burdach obozowych. Jak się modli, toby Bogu duszę całą wymodlił; jak się cieszy, to bez miary, a jak się bije, to nie na żarty. Wszystkiemu odda się z całym zapałem, całą duszą. Wadę naszą narodową, brak miary, u nich przedewszystkiem widać. Umiejętnie, roztropnie, ale z ogniem nimi pokierować, to będzie najlepszy lud na świecie. Tego hamulca było im brak. Przyjechał ks. Kandora, a zaraz w pierwszą niedzielę ludu tyle, że kościół obszerny ich pomieścić nie mógł. Kilku zbuntowanych kolonistów nie chciało kluczów do kościoła dać, poszło więc kilkunastu chłopów i pod silnymi razami siekiery, zamki kościelne prysły. Od razu wszyscy za ks. Kandorą. Łagodnością i swem wesołem usposobieniem pozyskał ich wszystkich.

Kościół mamy dość wielki z wieżą, 42 metry wysoką; wygląda trochę, jak ks. Smołucha mówi, na komin. O stylu nie może być wiele mowy, bo wszystkie prawie tutejsze kościoły stylów nie lubią; są to muzea wszystkich możliwych stylów naraz, od doryckiego począwszy, a skończywszy na secesyi. Nasz kościół ma nawet galerye, naokoło jak na Stradomiu, tylko tak wysoko, że rosły mężczyzna może śmiało głową sklepienia dosięgnąć. Zewnątrz prezentuje się bardzo ładnie, wewnątrz tylko brakuje jeszcze wielu rzeczy najniezbędniejszych, jak ołtarzy, ambony, ornatów dobrych. Wiele trzeba będzie robić, żeby wszystko do porządku przyprowadzić, zwłaszcza, że i wieżę trzeba będzie restaurować, bo z powodu pogni-

tych desek zachodzi obawa, że runie przy silniejszym podmuchu. A lud teraz niewiele daje, bo szarańcza zeszłoroczna i tegoroczna za nich wszystko zjadła. Całe szczęście, że buduje się teraz kolej Rio Grande—Sâo Paolo, wszystka więc prawie młodzież tam na robotę spieszy. W kościele też z tego powodu prawie nie widać chłopaków, chociaż nasza kolonia jest największą kolonią polską w Paranie; ciągnie się jakie 5 do 6 mil w promieniu, a mieści w sobie około 700 rodzin czysto polskich, nie licząc Rusinów, których jest do 1000 rodzin, i garstki Brazylian. Gospodarstwa schludne: obszerne podwórze, czysto trzymane, kuchnia, obora i stodoła, na podwórzu, o ile rzeczka nie płynie tuż przy domu, studnia. Zaciekawiło mnie zwłaszcza to, że tutejsi koloniści w przeciwieństwie do Galicyanów z Thomaz Coelho zajmują się z zapałem ogrodem i sadem, całość więc obejścia gospodarskiego, ocienionego zielenią drzew owocowych i barwną rozmaitością kwiatów, robi bardzo miłe wrażenie. Jeden dom od drugiego oddalony o niecały kilometr i to w równej linii przy drodze, co na tutejsze stosunki i według brazylijskiego rozumienia nazywa się, że dom przy domu; wpływa to przychylnie na lepsze rozwijanie się stosunków towarzyskich, niż na innych koloniach, gdzie domy są nieraz w kilkukilometrowej od siebie odległości. Mamy kilka towarzystw pod wezwaniem wszystkich możliwych Świętych; niektóre się dość rozwinęły, większość jednak, jak wogóle towarzystwa polsko-parańskie, choruje na brak członków i brak pieniędzy z powodu wadliwej organizacyi i wysuwania swoich partyjnych spraw na czoło obrad. Kolonia może się ładnie rozwinąć, skoro tylko będzie łatwiejsza komunikacya. Do niedawna nie było tu ani jednej drogi kołowej, tylko pikady, t. j. ścieżki graniczne szakrów, a teraz jedna droga do stacyi Mallet i kilka dróg już jest na ukończeniu, będzie więc łatwość zbytu. Dawniej musieli koloniści wszystko na plecach, nieraz kilka mil, na sprzedaż nieść i to jeszcze za produkty nie dostali pieniędzy, tylko wybierali sobie od wendzistów w towarze, teraz już wiele na lepsze się zmieniło.

My mamy tylko biedę z kościołami; jest ich trzy razem z macierzystym. W znanej sprawie ks. Stankiewicza ks. Biskup rzucił klątwę na dwa kościoły, a i nam potem robił trudności dojeżdżania tam, chociaż do jednego kościoła była konieczna potrzeba jeździć z tego względu, że z powodu wielkiej odległości do macierzystego kościoła ludzie wcale nie chodzili i dziczeli, a przytem dla blizkości Rusinów zachodziła obawa, że przejdą na ruskie. Teraz już wolno tam jeździć. Kościół ks. Stankiewicza stoi do dziś pusty i niema wielkiej nadziei, żeby ks. Biskup zdecydował się go otworzyć; dla nas jest to lepiej, bo kościół za blizko naszego, w razie ekskursyi traciłby kościół macierzysty.

Ogół kolonii naszej robi piękne wrażenie. Dokoła góry, wznoszące się amfiteatralnie; na nich pola posiane kukurydzą, żytem, fiżonem i t. d., to jakby kobierce, którymi nasi pokrywają matkę żywicielkę, której wszystko zawdzięczają. Ramami tego obrazu, to olbrzymie lasy dziewicze, czerniące się na horyzoncie. Można się formalnie kąpać w życiu natury. Zaraz przy plebanii rzeka Rio Claro, dość wielka, zamieszkana przez mnóstwo ryb i wodnych świń, zwanych Capivarami. Kiedy zajęcia mniej, wybieramy się czasem na ryby. Na Wigilię ułowiliśmy sobie wielkie okazy. W lasach zaś żyją różne gatunki małp, niedźwiedzie brazylijskie zwane „Coati", dzikie świnie większe i mniejsze, tapiry, olbrzymie jaszczury, mrówkojady większe i mniejsze, a z ptasiego rodu śliczne tukany i kilkanaście gatunków papug.

A teraz jaka będzie nasza praca. Przedewszystkiem pójdzie w kierunku oświatowym; staramy się więc o wpływ na szkoły; wkrótce założymy z naszych prywatnych szkatuł bibliotekę parafialną; zorganizowałem chór, złożony z dziewcząt, bo chłopcy, jak wspomniałem, prawie wszyscy robią przy kolei; wkrótce rozpocznę uczyć sztuki teatralnej. Mam jedną myśl, ale w jej powodzenie ks. Kandora nie wierzy. Chodzi mianowicie o polepszenie bytu nauczycieli; płaca ich jest marna, dochodzi niekiedy 10—15 milów na miesiąc. I tu w tem sęk, bo na taką płacę żaden inteligentny nau-



Plebania nasza w Rio Claro.

Ks. Bayer, ks. Kandora, ks. Dejewski, ks. Kołodziej.

czyciel się nie połakomi; zgłaszają się tylko tacy, którzy swoich sił dopiero na dzieciach próbują. Gdyby większa płaca. byłby lepszy dobór. Otóż mój projekt na tem polega, żeby wszystkich, przynajmniej większość kolonistów zjednoczyć bez względu na to, czy do jakiego towarzystwa należą, czy nie, w jedno bezpartyjne „kółko szkolne“. Gdyby każdy miesięczną wkładkę płacił, moglibyśmy śmiało wyznaczyć dla nauczycieli stałą dość wysoką pensyę. Będę za tem agitował, może się uda. Byłem niedawno na Matenszu. Siostry zadowolone; mają obecnie w szkole 120 dzieci, a od Nowego Roku spodziewają się mieć 150. Zawsze mówiłem, że lepiej być optymistą; wszyscy im prorokowali kiepski byt, a one więcej mają dzieci w szkole, niż na Abranches.

Ks. Petrycki funkcye spełnia bez aprobaty; schizma wisi. ale niema ostrego charakteru. My tego nie odczuwamy, bo Rusini od nas dość daleko.

Abranches.

List ks. Bronnego do ks. Wizytatora z dnia 9. grudnia 1908 r.

Opiszę nieco nasze stosunki. Obecnie u nas lato; żniwa żytnie są w całej pełni, tylko za wiele mamy deszczu, bo już prawie ciągle od miesiąca pada. Wogóle jest to ciekawy objaw w Paranie, że w porze zimowej, która się wyłącznie na deszczu zasadza, jest go znacznie mniej, niż w lecie. Szarańcza, która codziennie całemi godzinami przeciągała w październiku i listopadzie, już wyginęła, ale na jej miejsce lęgnie się młode potomstwo z jaj, których w niektórych miejscach jest taka moc, że je można zbierać koszami. U nas dzięki Bogu, ograniczyła się tylko do jednej kolonii Lamenii Dużej i to jeszcze nie tak bardzo, jak przeszłego roku. Ogólnie żniwa zapowiadają się dobrze.

W parafii mamy spokój; ludzie są zadowoleni, bo co prawda przyznać muszą, że niczego dla nich nie szczędzimy, ni sił ni poświęcenia tak w kościele jako też i w szkołach. Z końcem listopada pokończyliśmy naukę popisami w Abran-

ches, Lamenie Dużej — dokąd jedna z Sióstr dojeżdża cztery razy na tydzień — i w Pakatubie, w szkółce, prowadzonej przez jednego kolonistę, Lipskiego. Ogólnie egzamin wypadł bardzo dobrze. Widoki szkolne na przyszły rok zapowiadają się bardzo pomyślnie tak w Abranches, jako też i na koloniach, zachęcam ich, co tylko mogę, aby się garnęli do szkoły, wielu mi już obiecało przystąpić do towarzystwa, które popiera oświatę w naszej parafii.

U nas na popisie był p. konsul Okęcki, który już jest na wyjezdnem do Europy — ma przyjść na jego miejsce jakiś Wiedeńczyk, mówiący po polsku: taką notatkę zamieścił jeden z tutejszych dzienników. Po ukończonym popisie odegrały dzieci szkolne i szesnastoletnie chłopaki jednoaktową komedyjkę „Błażek Opętany“ z wielkim sukcesem, ogólnem zadowoleniem i także z pewnym dochodem dla Sióstr na cele szkolne; w święto Niepokalanego Poczęcia po nieszporach powtórzono sztukę dla kolonistów za biletami. Na święta zamierzamy coś podobnego znowu urządzić, jeżeli tylko zdołamy. W Dużej Lamenii równocześnie z popisem urządziliśmy obchód listopadowy. Szkołę tę chcą koloniści wraz z pół szakrem ziemi zapisać na Siostry bez żadnych zobowiązań ze strony Sióstr. Do pierwszej Komunii św. przygotowujemy blizko 90 dzieci, część na miejscu, a resztę na kolonii, bo niektórzy mają bardzo daleko. Stowarzyszenie Dzieci Maryi stoi jeszcze w temsamem stadyum, jak było w czasie pobytu księdza Wizytatora w Paranie, bo chociaż już mam pozwolenie ks. Biskupa, nie mam jeszcze dyplomu erekcyjnego od O. Generała, o który prosiłem już blizko dwa miesiące. Skoro tylko będzie Stowarzyszenie Dzieci Maryi, zajmę się młodzieńcami, gdyż oni jeszcze więcej potrzebują stowarzyszenia — wszystko ciągnie do miasta i tam traci ducha narodowego i wszystko dobre, co z domu wynieśli.

Drugiego grudnia byliśmy na jubileuszu cesarskim i na feście u konsula.

Siostry w Paranie.

Z listów niektórych Sióstr, podajemy następujące szczegóły:

Na Mateuszu uczęszcza do szkoły przeszło sto dzieci, prócz tego udzielają nauki robót ręcznych i lekcyi prywatnych. Domu swego jeszcze nie mają, dzierżawią dwa pokoje, w których mają klasy za 40 milrejsów miesięcznie. Za naukę płacą dzieci z miasta 2 milr. miesięcznie, dzieci z kolonii $1^1/_2$ milr. Położenie miasteczka śliczne, tuż nad rzeką Iguassu, z Kurytyby jedzie się dzień koleją, a blizko dwa dni statkiem. Chcąc się dostać na Mateusz, trzeba się przygotować na różne przygody; nieraz, gdy niema wody dostatecznie, trzeba i tydzień czekać w Porto Amazonas, aż statek przyjedzie lub pchać się wiosłami na dziurawej łódce. Siostry nowo przybyłe zakosztowały tych przyjemności zaraz w pierwszej podróży. Pomimo to bardzo im się tam podoba, ze wszystkiego zadowolone.

Szkoda, że domy nasze tak oddalone, a przytem podróż utrudzająca i kosztowna; pomimo że nas więcej, rzadko się pewnie widywać będziemy, bo trudno w warunkach naszych pozwolić sobie na większe wydatki. Siostry na Thomaz Coelho kiedy przyjadą? Niezmiernie się na ich przybycie cieszymy. Mamy obecnie wakacye, które trwać będą do Trzech Króli.

Na Abranches powiększa się małe gospodarstwo Sióstr stopniowo, postarały się o wykopanie studni w podwórzu, ponieważ dotychczas trzeba było wodę z daleka nosić, oraz kupiły kawał gruntu graniczącego z podwórzem szkolnem, celem założenia pięknego ogrodu, gdyż prócz małego ogródka przed domem, niema kawałka roli na warzywo. Zamierzają także dom rozszerzyć, później naturalnie, jeśli Pan Bóg dozwoli, gdyż obecnie kasa zupełnie pusta. Chciałyby dobudować w podwórzu dużą salę, którąby można użyć na szwalnię. Z początkiem roku niniejszego otworzyły pracownię sukien i robót ręcznych dla dziewcząt z kolonii. Uczęszcza stale

14—18 dziewcząt starszych; chwilowo urządziły szwalnię w dawniejszym swoim dormitarzu, który przeniosły na górę; lecz dla tylu uczennic pokój za mały, dlatego trochę niewygodnie.

Księża Misyonarze udzielają religii we wszystkich trzech klasach, a w razie potrzeby i innych przedmiotów.

Uwaga: Z powodu licznych skarg, że listy z Parany czy do Parany giną, proszą tamtejsi Konfratrzy o jak najdokładniejsze adresowanie.

Adres do Orleansu:

Brazil-Paraná
via Lisbôa
Padaria Bürgel Batel
Curityba
Padre N. N. em Orleans.

Do Księży lub do Sióstr w Abranches:

Brazil-Paraná
via Lisbôa
N. N.
Abranches
ad Curityba, Caixa 155.

KRONIKA.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków — Kleparz. — Ważniejsze rzeczy o domu Centralnym za rok 1908 zapisywały Roczniki w poprzednich zeszytach. Dodać jeszcze można, że chętnie przyjmowaliśmy u siebie tych, którzy pragnęli prywatnie odprawić rekolekcye; w roku ubiegłym było ich dwudziestu dwu, a od r. 1901, dokąd sięga nasz „spis rekolektantów", 122. Wszystko to wszakże tylko duchowni, z wyjątkiem kilku świeckich. Dzieło tak ukochane przez świętego Wincentego mało u nas znane. — Pomyślnie rozwija się nasza „Sodalicya uczniów szkół średnich", do której zapisanych jest obecnie 150, a uczęszczających regularnie około 100; z tego Sodalisów 29, Aspirantów 23, reszta kandydaci lub członkowie Stowarzyszenia „Aniołów Stróżów". Szczupła liczba Sodalisów i Aspirantów tłumaczy się tem, że do ich grona przyjmuje się tylko uczniów ze szkół średnich począwszy od klasy IV. W kwitnącym stania są także „Katechizmy niedzielne", podzielone jak dawniej na trzy oddziały; na pierwszym jest chłopaków drobnych 30, na drugim starszych 120, na trzecim 20. Tak w Sodalicyi, jak przy Katechizmach, pomagają starszym swym współbraciom ze Stradomia nasi klerycy po ślubach; a nadto uczą sami prywatnie zaniedbanych chłopców, przygotowując ich na przyjęcie Sakramentów św. Przygotowywano takich od wakacyi około 10.

Stradom. — Jednostajność w naszych szkolnych zajęciach urozmaica nam praca duchowna w naszym kościele i poza domem.

Z końcem stycznia obchodzimy uroczyście doroczny odpust Nawrócenia św. Pawła, połączony z czterdziestogodzinnem nabożeństwem. Pontyfikalna suma w pierwszym dniu, a w trzecim pontyfikalne nieszpory, celebrowane od najdawniejszych lat przez Najprzewielebniejszego ks. biskupa dyecezyalnego, wśród asysty życzliwych konfratrów z innych naszych domów i licznej naszej młodzieży duchownej, są nam nad wyraz drogie, a podniosłością swoją i udziałem wiernych, zapełniających świątynię po brzegi, budują nas i zapalają do gorliwości, którą pałali dawni ojcowie nasi, co z tego domu przez dwa wieki roznosili znajomość Pana Jezusa między kler i lud dyecezyi krakowskiej. Kościół nasz został do dziś dla ludu kościołem przy „seminaryi", a odpust nasz jest i jemu drogi; licznie dotąd spieszy, spowiada się i przystępuje do Stołu Pańskiego. A jak w czasie tych uroczystości, tak przez cały rok spieszą mnogie zastępy wiernych do kościoła św. Pawła przy „seminaryi", by wziąć udział w pięknych nabożeństwach i dobrze się wyspowiadać. Liczba przystępujących u nas do Komunii św. wzrosła w ubiegłym roku prawie w dwójnasób. Szczególniej buduje nas ochota, z jaką wierni słuchają słowa Bożego. W niedziele i święta na kazaniach katechetycznych kościół literalnie pełny; znak to, jak dzisiaj ludzie spragnieni są tych prawd, których zrozumienie jest im pociechą w życiu i bronią przeciw atakom niewiary. Wielkiem ożywieniem cieszy się wśród naszych wiernych Stowarzyszenie św. Dziecięctwa i Żywy Różaniec.

Kościół Nawrócenia św. Pawła, sięgający początkami swymi czasów osiedlenia się Misyonarzy w Polsce i dlatego każdemu z nas tak drogi, jest stylowo bardzo piękny wewnątrz, ale niezupełnie wykończony, a przez dwa wieki jego istnienia kamienna jego fasada nadpsuta. Przy Bożej pomocy chcielibyśmy przystąpić do jego wykończenia i odrestaurowania.

Poza domem prócz obsługi naszych kapelanii spieszyliśmy z pomocą duchowną na odpustach i rekolekcyach tak do naszych, jak i świeckich księży w Krakowie i poza Kra-

kowem. Pomagaliśmy w słuchaniu peryodycznych spowiedzi św. prawie wszystkim katechetom szkół krakowskich. Rekolekcye dawaliśmy w tym roku dwa razy w Domu Pracy na Kazimierzu, dla ubogich i dla Dzieci Maryi, raz dla kleryków seminaryum duchownego w Płocku, w jednej szkole wydziałowej żeńskiej, Siostrom Najświętszego Serca Pana Jezusa, S. S. Norbertankom, dwa razy S. S. Miłosierdzia, Dzieciom Maryi w Maryampolu i Rozdole. Nasi dyakonowie zaprawiali się do urzędu nauczycielskiego, głosząc nauki w niedziele i święta dla ubogich na Kleparzu, a przed Wielkanocą mieli dla nich nauki rekolekcyjne. Młodsi ich bracia z wielkim zapałem oddawali się katechizacyi ubogiej dziatwy na Kleparzu i w zakładzie ks. Siemaszki. Przygotowali kilku katechumenów do przyjęcia chrztu św. i powrotu na łono Kościoła św. A św. Paweł cieszył się z ołtarza na widok tego zapału do apostołowania i pewnie uprosi im powołanie i łaskę do dalszej kiedyś pracy na dalekich zamorskich misyach naszych. A może Pan Bóg da w dobroci Swej któremu tę łaskę, że kiedyś światło wiary świętej zaniesie biednym Botokudom, sąsiadom naszym w Brazylii, którzy dotąd stale od tego światła w lasy brazylijskie uciekają.

Dyakonowie, wyświęceni na księży w maju, opuścili nas, z wyjątkiem ks. Pawłowskiego, wszyscy. A czterech z nich miało to szczęście, że od razu wyruszyć mogli za morze na ukochaną naszą misyę Parańską. Obecny trzeci kurs otrzymał subdyakonat w lutym, a niebawem będziemy znowu mieli ośmiu dyakonów.

Dał nam Pan Bóg tę pociechę, żeśmy w ubiegłym roku posłać mogli do Seminaryum Internum przeszło dwudziestu kandydatów z ostatniej klasy Małego Seminaryum. Na ich miejsce przybyło do nas z Nowej Wsi 22 uczniów, którzy czekają na chwilę, kiedy będą mogli podążyć za swymi starszymi braćmi. Dyrektorem ich jest ks. Józef Krause, który do nas przybył w tym celu z Kleparza.

Na teologię przybyło do nas z końcem sierpnia dwunastu kleryków studentów z Kleparza. Ze studyów z zagra-

nicy wrócili do nas ks. Wilhelm Michalski z Jeruzalem i ks. Jan od Krzyża Jaworek z Rzymu, i objęli katedry Pisma św., tak ważne w obecnych czasach. Na dalsze studya pojechali ks. Franciszek Bączkowicz do Wiednia i ks. Konstanty Michalski do Lowanium. Ks. Mateusz Marzotko wrócił po wakacyach do Rzymu.

W czasie wakacyi odprawili u nas, jak po inne lata, rekolekcye wspólne księża katecheci pod kierownictwem duchownem Przewielebnego ks. Wizytatora.

W oktawie uroczystości św. Wincentego przystąpiliśmy do wykonania dawnego zamiaru ś. p. ks. Sakowskiego, który już przed dziesięciu laty przygotował plany do budowy nowego domu od ulicy św. Gertrudy. Według naszych planów zaczęliśmy budowę dwóch naszych domów, które będą przytykały do narożnego domu naszego od ulicy Stradomskiej. Dnia 4. października dokonał poświęcenia kamienia węgielnego w obecności Przewielebnego ks. Wizytatora i w otoczeniu konfratrów naszego domu Przewielebny ks. Prokurator generalny Villette z Paryża. Dokument tego aktu, spisany na pergaminie, zamurowaliśmy wraz z Cudownym Medalikiem Najświętszej Maryi Panny, by Jej opieką zapewnić nam nietylko doczesne utrzymanie, ale ożywienie ducha, którym pałali dawni ojcowie nasi.

Nowa Wieś Narodowa. — Praca księży koncentruje się głównie przy Małem Seminaryum, które trwa nadal w swym pełnym rozwoju. Chociaż od dwóch lat trzy tylko są klasy (klasę IV. przeniesiono na Stradom w roku 1907), liczba uczniów wynosi około 70. Od wakacyi 1908 superyorem domu jest ks. Stanisław Konieczny, dotychczasowy przełożony domu w Conshohocken w Ameryce północnej; dyrektorem Zakładu zaś ks. Wilhelm Szymbor, w miejsce ks. Osadnika, zamianowanego superyorem w Conshohocken.

Poza obowiązkami szkolnymi pracują księża w kościele Matki Boskiej Lourdeńskiej, prowadzą Dzieci Maryi u Sióstr Miłosierdzia, spieszą często do chorych z ostatnimi Sakramentami św., pomagają konfratrom innych domów, czy to na

Kleparzu w czasie rekolekcyi ludowych, czy w innych, biorą od czasu do czasu udział w misyach albo dają rekolekcye.

Tarnów. — *List ks. Superyora Tyczkowskiego z dnia 24. stycznia 1909 roku.* Cały rok 1908 przeszedł nam na pracach w granicach powołania naszego. Przedewszystkiem obaj księża katecheci zajęci byli czterema szkołami, a nadto pomagali w pracy parafialnej przez głoszenie kazań lub słuchanie spowiedzi św. Ja cały byłem zajęty dokończeniem budowy kościoła i domu naszego. Wszystko szczęśliwie się skończyło, a uroczysta konsekracya kościoła odbyła się dnia 4. października.

Po otwarciu kościoła praca nasza stała się większą, to też Przełożeni przysłali nam pomoc w osobie ks. Piotra Brukwickiego. Prócz Mszy św., odprawianych w stale oznaczonym czasie, słuchamy codziennie spowiedzi nietylko ludzi z Tarnowa, ale także wieśniaków z okolicy, którzy coraz liczniej się garną, zwłaszcza ze spowiedzią generalną.

W niedziele i święta uroczyste praca nasza się powiększa, bo prócz nabożeństwa i spowiedzi głosimy kazania na sumie i na nieszporach, a w czasie Adwentu i na roratach, a ponieważ nasz kościół jest wielki i wysoki, więc kazania głoszone w nim absorbują wiele sił naszych fizycznych. O ile nasze miejscowe obowiązki nam pozwalają, chętnie udział bierzemy w najważniejszem dziele Zgromadzenia, a mianowicie w pracach misyjnych. Brałem sam udział w misyach w marcu w Czerminie, w Borowej i w Padwi; a następnie we wrześniu odprawiłem łącznie z ks. Brukwickim misye w Łączkach Kucharskich i w Gumniskach-Fox. Prócz tego ks. Brukwicki dawał rekolekcye Dzieciom Maryi w Założcach. Wreszcie ks. Włodarczyk dawał rekolekcye w dwóch tutejszych szkołach ludowych.

Odporyszów. — *Ks. Superyor Krzyszkowski pisze do nas pod datą 19. stycznia bież. roku.* Pospieszam ze sprawozdaniem z prac w naszym domu w Odporyszowie w roku 1908. Nie mogą one być tak rozległe i owocne, jak w innych domach, bo nas tu dwóch tylko księży, a ruchliwa

trzechtysięczna parafia mazurska absorbuje dużo czasu; trzeba aż hamować ostry temperament ludu tutejszego. Odpoczywać nie pozwolą oni księdzu, chyba tylko wtedy, gdy ich gorąca robota w polu przyciśnie, lub gdy gromadnie z wiosną wyjadą na zarobki do Danii, Szwecyi, Saksów, „Leipcyka", Ostrawy i kto wie gdzie. Na drogę spowiadają się, biorą szkaplerze, różańce, a gdy wrócą, znowu spowiedź i nadstawianie tego, co opuścili z pobożności poza krajem. Są od tej reguły niestety i wyjątki: to tak zwani roczniacy albo nieoświeceni, co tylko raz do roku się spowiadają i to jeszcze nie wiedzą, jak i co powiedzieć księdzu. Komunikantów zakonsekrowano w naszym kościele przez rok 1908 ośmnaście tysięcy siedemset trzydzieści (18.730). Z tego na odpusty przypada około 5 tysięcy, to znaczy że blizko 14 tysięcy pozostaje na samą parafię i okolicę.

Szkół mamy cztery, po dwie godziny tygodniowo; z tych jedna w miejscu, a trzy po innych wsiach.

Targają też czas troski o chleb powszedni, sprawy kancelaryjne, gospodarskie, staranie o kościół, kaplice, cmentarze, o zarząd Kółka rolniczego w Laskówce; jest tam także kaplica Sióstr Służebniczek, do której co tydzień dojeżdżamy ze Mszą św., a spowiedzi tam dużo. Przytem pomoc sąsiadom bliższym i dalszym w odpustowych nabożeństwach, aby rewanż zyskać; to są nasze zajęcia obowiązkowe, konieczne.

Mimo tej krętaniny mieliśmy sposobność brać czynny udział pojedynczo na misyach w Czerminie, Borowej, Padwi, Osieku, Strusowie i Husowie; na żądanie zaś Przewielebnego Księdza Wizytatora udzielaliśmy rekolekcyi kapłanom w Kalwaryi Zebrzydowskiej. Pomagaliśmy też, we dwójkę, tj. wszyscy księża z naszego domu, w spowiedziach na rekolekcyach dla inteligencyi, tak w Żabnie, jak w Dąbrowie, a na wielkiej misyi w Dąbrowie, udzielanej przez ks. ks. Redemptorystów, co dnia czasem pieszo, czasem końmi, spieszyliśmy słuchać spowiedzi misyjnej.—A teraz opiszę choć w krótkości nasze odpusty, na których już nie my pracowaliśmy, ale księża konfratrzy z Krakowa, Tarnowa i sąsiedzi okoliczni.

Odpusty w Odporyszowie to jakby hymn wspaniały na cześć Boga-Rodzicy. Już na dwa dni przed odpustem drogi i drożyny, wiodące ze wszystkich stron wkoło do Odporyszowa, ożywiają się pątnikami. Przez pola, łąki, gaje i lasy ciągną, jak ptactwo na wiosnę, mniejsze i większe gromadki barwne ludu, z krzyżem procesyonalnym na czele lub z prostą gałęzią, na której przywiązana czerwona chustka zamiast sztandaru, aby oderwane od kompanii jednostki mogły wśród tłumu oryentować się, gdzie przynależą. Ci, co pierwszy raz przybywają na odpust, mają zielone wieńce na głowie, a wszystko to rozśpiewane, zmęczone drogą, spocone, zakurzone, a przytem rozentuzyazmowane, gdy ujrzy z dala bielące się na górze wśród drzew mury kościoła, pada na ziemię i płacze. Bo też iść pieszo od Radomyśla lub od Sącza, a nawet od Mielca, to ofiara nie mała. Przed wsią w Odporyszowie zatrzymuje się kompania, a przewodnik idzie prosić księdza, żeby przyjął kompanię. Liczą te kompanie 15 osób czasem, czasem i 200, a do każdej trzeba coś przemówić i do kościoła wprowadzić. Tu właśnie pokazać mogli swą gorliwość i miłość ku Matce Najświętszej księża konfratrzy w odpust na Zielone Świątki i na Narodzenie Najświętszej Panny. Co kwadrans kapa, krzyż, kropidło, i mów, witaj, wysławiaj Najukochańszą Matkę naszą; a lud wzdycha, płacze, szlocha i wchodząc za księdzem do kościoła, gdy dzwonki uderzą, a odsłoni się cudowny obraz Najświętszej Panny Odporyszowskiej, w głos zawodzi i padając krzyżem łzami formalnie posadzkę zalewa. Spowiedzi trwają od rana do wieczora, z małą przerwą na obiad. Ludu tłumy niezliczone; obliczają ilość pątników w Narodzenie Matki Bożej na 40 tysięcy i więcej. Ten sobie śpiewa to, drugi owo; jedna kompania obchodzi dróżki, inna stacye; ci śpiewają litanię przed płaskorzeźbami na ten cel rozwieszonemi; inni na klęczkach trzy razy obchodzą kościół, inni znów czołgają się naokół wielkiego ołtarza, a to nietylko w dzień, ale i w nocy śpiewy nie milkną. Wspaniała to i uderzająca niezwykłością manifestacya czci ludu dla Matki Najświętszej,

szczególniej gdy się trafi — jak tego właśnie roku — noc pogodna, ciepła, księżycowa; sklepienie niebios lśni gwiazdami, a tu ze wszystkich wzgórz, dolin i krzaków na najrozmaitsze tony i sposoby grupami po 5 lub 10 osób z blizka lub z daleka płyną pieśni smutne, skoczne, ciche, rozgłośne, przeróżne, razem pod strop niebieski, ku czci Królowej Aniołów, którzy cieszą się, że mają pomoc w śpiewaniu. Księża zaś, strudzeni słuchaniem spowiedzi, kazaniami, na prostych siennikach, rzuconych w braku łóżek i miejsca na podłogę, zasnąć wśród tego śpiewnego gwaru nie mogą, choć nazajutrz rano trzeba wstać wcześnie, aby znów spowiadać dzień cały.

Ile nawróceń poważnych dokonywa się w czasie tego odpustu, to już sekret spowiedników, ale to widoczna, że trudno się oprzeć i najtwardszemu grzesznikowi wśród tej ogólnej miłości do Królowej Miłosierdzia i Ucieczki grzeszników. — Że mogą być i ujemne strony odpustów takich, to pewna, ale właśnie te ujemne strony wytępić, uniemożliwić, a dodatnie strony podnieść i wykorzystać w kierunku zbawienia jak najwięcej dusz, jest naszem trudnem zadaniem.

W pracy tej, oprócz księży kondekanalnych, którzy ochotnie co roku, *ipsa die*, przed sumą, w liczbie około 20-tu zjeżdżają do Odporyszowa, brali udział na odpuście w Zielone Świątki: Ks. Szymbor, który kilka razy głosił słowo Boże, ks. Osadnik, który również miał kazanie, ks. Zabrzeziński, ks. Włodarczyk, ks. Mierzejewski, ks. Pawłowski i ks. Paszyna. Nadto dzielnie nam pomagało dwóch naszych kleryków ze Stradomia, którzy, choć spowiadać nie mogli, ale zajęli się tem, coby musiało ze dwóch księży oderwać od słuchania spowiedzi. W odpust na Narodzenie Matki Bożej, przy ślicznej pogodzie, celebrował ks. Tyczkowski, superyor z Tarnowa; kazania głosili ks. Brukwicki i ks. Pawłowski; spowiadali zaś ks. Włodarczyk, ks. Mierzejewski, ks. Jaworek i ks. Grabowski.

Lwów. — *Małe Seminaryum Arcybiskupie obrz. łać.* — Ks. Rektor Gaworzewski pisze do nas pod datą 6. lutego bież. roku.

W bieżącym roku upłynie dziesięciolecie, odkąd prowadzimy zakład, powierzony nam jeszcze przez ś. p. ks. Arcybiskupa Seweryna Morawskiego. Przez cały ten czas praca była dość twarda i nużąca. Aby sobie tę pracę ułatwić, przenieśliśmy przed dwoma laty uczniów naszego zakładu do gimnazyum VI., które jest najmniejsze z gimnazyów lwowskich, bo liczy coś około 300 tylko uczniów, a do tego ma już ustaloną a ze wszech miar usprawiedliwioną sławę karnego, wprost wzorowego gimnazyum. Bóg pracy naszej żmudnej i wyczerpującej, podjętej w imię zasad św. Wincentego, pracowania nad młodzieżą, która się sposobi do stanu kapłańskiego, pobłogosławił widocznie. Wpływ nauk, egzort, ćwiczeń duchownych, uczęszczania do św. Sakramentów, jest widoczny. Rozumienie życia duchownego, obowiązku pracy nad wyrobieniem w sobie siły woli, charakteru, poczucie sumienności w spełnianiu obowiązków jako też zrozumienie celu zakładu wzrosło znacznie. Mimo opuszczenia zakładu przez młodzież wyższych klas gimnazyalnych w pierwszych latach naszego kierownictwa zakładem, przez lata ostatnie czterech wychowanków zostało kapłanami: dwóch kapłanami świeckimi, a dwóch w zakonie OO. Dominikanów. W Seminaryum kleryków jest obecnie dziesięciu naszych wychowanków.

Od pierwszego zaraz roku objęcia kierownictwa zakładu przez Zgromadzenie jeden z księży prefektów był zarazem katechetą przy gimnazyum, w którem nasza młodzież się kształciła. Był jednak tylko katechetą suplentem. Dopiero od 1. października roku 1908 ks. Bartłomiej Szulc zamianowany został przez Radę szkolną krajową katechetą stałym przy VI. gimnazyum, które to stanowisko ułatwia nam znacznie wpływ na młodzież i utrzymanie stosunków z gronem nauczycielskiem.

Prócz zajęć w zakładzie oddajemy także w miarę sił naszych usługi duchowne i poza zakładem. W pierwszym rzędzie spieszymy z pomocą towarzystwom, które pracują dla ubogich w myśl zasad naszego św. Założyciela. Towarzystwa św. Wincentego we Lwowie, tak Pań Miłosierdzia i P. P. Ekonomek, jako też Konferencyi męskich, są wprost w stanie kwitnącym. Odznaczają się, zwłaszcza Towarzystwo męskie, wielką sumiennością w odwiedzaniu ubogich chorych. Towarzystwo św. Wincentego dało także początek różnym pierwszorzędnej wagi instytucyom we Lwowie. Z jego inicyatywy powstała „czytelnia katolicka“, internat dla kandydatów na nauczycieli szkół ludowych. Staraniem Towarzystwa zorganizowaną została opieka nad terminatorami, którzy dotychczas tworzą już trzy oddzielne towarzystwa. Dzieło uświęcenia nieprawych związków przez Sakrament małżeństwa, rozdawnictwo zupy rumfordzkiej prowadzą także członkowie Towarzystwa św. Wincentego. W pracach tych towarzystw bierzemy czynny udział w miarę możności.

Prócz tego udzielaliśmy także i w tym roku rekolekcyi, i tak: Ks. Gaworzewski Józef w szkole P. P. Benedyktynek ormiańskich (od 9-go do 12-go marca), dla Pań Towarzystwa św. Wincentego i Towarzystwa św. Franciszka Salezego (od 15-go do 19-go marca), rekolekcye dla Pań Miłosierdzia w Poznaniu (od 30-go marca do 3-go kwietnia). Ks. Szulc przewodniczył ćwiczeniom duchownym w drugiej szkole realnej (od 17-go do 20-go marca), dla Towarzystwa św. Stanisława Kostki, to jest dla terminatorów, przez tydzień (od 19-go marca), w szkole żeńskiej św. Antoniego (od 5-go do 10-go kwietnia), dla ogółu robotników kolejowych (od 6-go do 12-go kwietnia), w zakładzie prywatnym Petelenza (13-go i 14-go kwietnia), w pensyonacie P. P. Sakramentek (od 10-go do 15-go czerwca). Nadto jeden z księży przewodniczył rekolekcyom w szkole imienia Henryka Sienkiewicza (od 16-go do 18-go marca), oraz we filii siódmego gimnazyum we Lwowie (od 23-go do 26-go

marca). Ogółem wypowiedziano około 150 nauk, oprócz przemówień w zakładzie.

Z wypadków, ogół konfratrów interesujących, zaznaczyć trzeba fakt wybudowania w tym roku (1908) dla Zgromadzenia grobowca na cmentarzu Łyczakowskim. Potrzebę wybudowania grobowca odczuwaliśmy od chwili, kiedy ś. p. ks. Franciszek Grzegdala, w roku 1904 przyjechawszy do Lwowa już chory, tutaj przeniósł się do wieczności. Zwłoki ś. p. ks. Franciszka złożyliśmy tymczasowo w grobowcu OO. Zmartwychwstańców. Dnia 29-go października roku zeszłego, przy pięknej jesiennej pogodzie, w kilka dni po rocznicy śmierci ś. p. ks. Grzegdali, grobowiec został przez Przewielebnego księdza Wizytatora Słomińskiego poświęcony, po przeniesieniu do niego wprzód zwłok ś. p. ks. Franciszka. W uroczystości tej poważnej wzięli udział Konfratrzy domów lwowskich, znaczna liczba Sióstr Miłosierdzia ze Lwowa, a również przybył na ten dzień Czcigodny O. Wdzięczny z Moszczan.

Lwów. — *Filia zakładu miejskiego dla nieuleczalnych przy ulicy Zborowskich.* W październiku roku 1908 otwarto we Lwowie filię domu miejskiego dla nieuleczalnych imienia Bilińskich. Magistrat bowiem chce przy zakładzie fundacyi Bilińskich dobudować nowy pawilon dla mężczyzn. Z tego powodu przeniesiono pięćdziesięciu nieuleczalnych mężczyzn do osobnego domu przy ulicy Zborowskich, do dawniejszych koszar dla wojska. — Do obsługi tych chorych zawezwano cztery Siostry Miłosierdzia. Magistrat lwowski okazuje Siostrom wiele przychylności, a mając zamiar powiększyć liczbę chorych do stu osób, chce prosić o dalsze dwie Siostry do tego zakładu.

Sokołówka. Otrzymaliśmy następujące sprawozdanie od ks. Górala.

Od dwóch lat jest w domu naszym sokołowieckim trzech księży i braciszek. Dwóch księży, Czcigodny ks. Kiedrowski i ks. Sobawa, zajmują się zarządem domu i obsługą kaplicy Sióstr Miłosierdzia w Choderkowcach; ks. Góral spełnia obo-

wiązki pomocnika w parafii sokołowieckiej i udziela nauki religii w szkołach.

Żeby przedstawić pokrótce rodzaj pracy naszej w kaplicy Sióstr Miłosierdzia, starczy podać porządek nabożeństwa, tamże odprawianego. Codziennie jeden lub dwóch księży ma Mszę św. we wspomnianej kaplicy i słucha spowiedzi, jeśli się kto zgłosi; w sobotę zwłaszcza pod wieczór i we wigilię świąt uroczystych lud tutejszy, ze Sokołówki i z sąsiednich wiosek, zapełnia kaplicę Sióstr, by swą duszę oczyścić w Sakramencie Pokuty. Nieraz dwóch lub trzech księży spowiada do późnego wieczora. Z dalszych zaś wiosek przychodzą do spowiedzi w sam dzień uroczysty, w niedzielę i święta z rana i przed południem. Zaznaczyć należy, że i lud ruski garnie się do nas do spowiedzi świętej z całem zaufaniem. Komunikantów rozdano zeszłego roku przeszło 5.500, nie wliczając Rusinów, którzy w cerkwi do Komunii świętej przystępują.

W niedziele i święta odprawiamy w kaplicy zazwyczaj dwie Msze święte: jedną cichą o 6-ej godzinie, a drugą śpiewaną o 8-ej, poczem następuje nauka; po południu odprawiamy nieszpory lub błogosławieństwo. Co niedzielę mamy po nieszporach katechizacyę z dorosłymi w salach ochrony Sióstr Miłosierdzia. Lud na nie bardzo gorliwie się gromadzi. Wśród tygodnia trzymamy się, o ile można, praktyk naszego Zgromadzenia, odprawiamy co piątek i przez oktawę większych uroczystości błogosławieństwo z wystawieniem Najświętszego Sakrametu. Obchodzimy uroczyście pierwszy piątek miesiąca na cześć Serca Jezusowego, raz w miesiącu adoracyę Najświętszego Sakramentu, w Wielkim Poście drogę krzyżową, tudzież nabożeństwo majowe i różańcowe w październiku. Nawet Rusini poszli za naszym przykładem, spodobało im się nabożeństwo majowe, już je od pewnego czasu w cerkwi odprawiają.

Przy kaplicy Sióstr Miłosierdzia w Choderkowcach zaprowadzono niektóre stowarzyszenia, którym my przewodniczymy. I tak istnieje tu stowarzyszenie świętego Dzie-

cięctwa Pana Jezusa, bardzo ukochane przez rodziców, którzy do niego zapisują swe dziatki. Chore zaś przynoszą nam, a nawet z dalszych wiosek przywożą, żebyśmy się nad niemi modlili i wodę im poświęcali. Niema jednego dnia, żeby ich kilka nie przwieziono, a więcej przybywa Rusinów, niż Polaków, gdyż pierwsi w tutejszej okolicy są liczniejsi.

Jest tu także stowarzyszenie Świętych Aniołów Stróżów i Dzieci Maryi, których dyrektorem jest Czcigodny ks. Kiedrowski. Przestrzegają one z całą dokładnością swych ćwiczeń duchownych, uczęszczają sumiennie na tygodniowe i miesięczne zebrania, a swem zachowaniem, skromnością, pobożnością i częstem przystępowaniem do Sakramentów świętych są dobrym przykładem nie tylko dla domów i rodzin, wśród których żyją, lecz i dla sąsiadów i całych wiosek. Istnieje tu również męskie stowarzyszenie Dzieci Maryi.

I o dorosłych nie zapomniano. Dla nich zaprowadzono „Żywy Różaniec“, który zazwyczaj tak błogie i obfite owoce przynosi wśród ludu po parafiach. Należą do niego wszystkie róże: kobiety i mężczyźni, dziewczęta i chłopcy. Żywym Różańcem opiekują się również nasi księża, odbywają zmiany, dają nauki, różne przestrogi i uwagi.

Prócz zwykłych uroczystości obchodziliśmy wspaniale jubileusz papieski. Już we wigilię uroczystości były ku wielkiemu zdziwieniu tutejszej ludności ognie sztuczne, strzelano z moździerzy. W sam dzień uroczysty urządzono procesyę z kaplicy do kościoła parafialnego, gdzie ją przyjął ks. proboszcz przemową. Sumę w asystencyi dwóch księży odprawił Czcigodny ks. Kiedrowski, a okolicznościowe kazanie wygłosił jeden z księży Misyonarzy. Po południu przybył miejscowy ruski ks. proboszcz z procesyą do parafialnego kościoła, a stąd wraz z polską procesyą udaliśmy się (siedmiu księży) do kaplicy Sióstr Miłosierdzia w Choderkowcach, aby tam odprawić uroczyste nieszpory. Równocześnie z nami nadchodzi procesya z Bóbrki, prowadzi ją ks. kanonik i ks. katecheta. Była to dla nas miła niespodzianka. Tysiączna zgromadzona ludność nie mogła się pomieścić w nie-

wielkiej kaplicy. Po odprawieniu uroczystych nieszporów w asystencyi dwóch księży wygłoszono znów kazanie przed kaplicą. Nabożeństwo zakończono błogosławieństwem Najświętszego Sakramentu. W ochronie Sióstr Miłosierdzia odegrały Dzieci Maryi wśród licznych widzów piękny teatrzyk. Wieczorem ponownie były ognie sztuczne, strzelano z moździerzy, nawet niektóre domy illuminowano. — Lud tutejszy nie pamięta podobnej uroczystości; zwłaszcza Rusini dziwili się, że Polacy tak czczą i kochają Ojca świętego, u nich bowiem nie odprawiano żadnych uroczystości jubileuszowych.

Prócz pracy na miejscu udzielamy się innym. I tak Czcigodny ks. Kiedrowski, jako dyrektor Sióstr Miłosierdzia prowincyi chełmińskiej, podejmuje dwa czy trzy razy w roku długą, mozolną podróż do Prus, by tam brać udział w rekolekcyach Sióstr Miłosierdzia. Ile zaś mu siły i zdrowie pozwala, słucha spowiedzi w kaplicy, wziął również udział w uroczystościach jubileuszowych, w Sokołówce celebrował sumę, a w Bóbrce wygłosił okolicznościowe kazanie.

Ks. Góral dawał z początkiem września trzydniowe rekolekcye Dzieciom Maryi we Lwowie, wspomaga także sąsiednich proboszczów w czasie odpustów przez słuchanie spowiedzi lub głoszenie kazań.

Wielką, a może większą część pracy poświęcamy tutejszej parafii. Jeden z naszych księży konfratrów jest przeznaczony jako pomocnik dla schorzałego, ośmdziesięcioletniego staruszka, ks. kanonika parafii sokołowieckiej. Lecz prócz niej ma do obsługi drugą, tworzącą się parafię w Bryńcach Zagórnych, a w dodatku czternaście szkół, w których udziela nauki religii.

Kościół w Bryńcach Zagórnych na przysiołku, zwanym Brzezina, budowano długo, bo aż cztery lata. Wreszcie go ukończono w jesieni 1908 roku. Wprawdzie jest on wielki, 23 metry długi, a 15 szeroki, o trzech nawach, stylu barokowego, lecz to nie jest właściwa przyczyna opóźnienia budowy. Brak energicznego zajęcia się sprawą od samego początku, brak sumiennego nadzoru, a zwłaszcza brak fundu-

szów, to główne przyczyny powolnej pracy około kościoła. Na budowę wydano dotychczas 40 tysięcy koron. Na tak znaczną sumę złożyli się p. Stanisław Zwolski, właściciel Bryniec Zagórnych, księża i ofiary, zazwyczaj drobne, składane i uzbierane przez tamtejszą ludność.

Od dwóch lat zajmują i opiekują się tym kościołem nasi księża konfratrzy (ks. Linkert, obecnie ks. Góral). Trudne i przykre były początki, w jakich zaczęto w nim nabożeństwo odprawiać. Lud tamtejszy i z dalszych jeszcze wiosek był pod względem duchownym zupełnie opuszczony. Do kościoła miał przeszło dwie mile, chodził więc zazwyczaj do cerkwi na nabożeństwa i do Sakramentów św. i tak mimowoli przystawał „na ruskie“, będąc straconym dla naszego obrządku. O tem wszystkiem wiedział Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup Bilczewski. Dlatego też prosił dawnych i obecnych przełożonych w Krakowie, aby wyznaczyli jednego z naszych księży, celem zajęcia się opuszczonym ludem i dokończeniem budowy kościoła. Objęliśmy więc nowy posterunek; pierwszy raz odprawił ks. Góral Mszę św. w na-wpół zbudowanym kościele dnia 29. czerwca 1906 roku w uroczystość świętych Apostołów Piotra i Pawła. Odtąd stale odprawiamy tam w niedziele i święta nabożeństwa. Początkowo zdawało się nieraz, że trzeba będzie je przerwać, gdyż w kościele zawadza rusztowanie, pełno gruzów i rumowisk (wyprawiano sufit i ściany), a co najprzykrzejsze, niema szyb w oknach, stąd powstają liczne przeciągi, wiatr gasi świece na prowizorycznie zbudowanym ołtarzu, przewraca kartki w mszale, unosi hostyę i komunikanty. Czegoś podobnego nie doznają chyba i misyonarze na misyach zagranicznych! Jednakowoż z pomocą łaski Bożej zdołaliśmy te trudności pokonać, obecnie jest kościół już wykończony. Wewnątrz wyłożony piękną posadzką; na chórku znajduje się wprawdzie stary organ, który nabyliśmy, lecz jest zupełnie dobrym, ma piękny i miły głos. Sprawiliśmy także trzy harmonijne dzwony, które ratami będziemy spłacać. W kościele mamy już i kilka ławek, chorągwie, brak tylko ołtarzy,

ambony, chrzcielnicy i stal. O wewnętrzne urządzenie stara się obecnie nasz konfrater, obsługujący nową parafię.

Najmozolniejsze i najprzykrzejsze są ekskursye niedzielne z nabożeństwem do owego kościoła. Już o 6. godzinie z rana wyjeżdża ks. konfrater, bo do kościoła daleko (półtorej mili), a tam czekają na niego liczne spowiedzi. Spowiada kilka godzin, wychodzi ze sumą, ma kazanie, a potem chrzty, wywody itp. Wszystko odprawia na czczo, o głodzie i chłodzie. Często po nabożeństwie czeka na niego pogrzeb lub fura do chorego, gdyż ludzie korzystają ze sposobności, aby furmanki daleko do Sokołówki po księdza nie posyłać. Wraca więc nieraz ksiądz dopiero wieczorem, na czczo, wśród zimna i mrozów lub wśród słoty albo zawiei śnieżnych. Jeśli kiedy uda mu się wcześniej powrócić, to go i w Sokołówce nierzadko spotyka niespodzianka: jakiś pogrzeb, czy też do chorego w sokołowieckiej parafii. Trudno od ośmdziesięcioletniego staruszka wymagać, aby te funkcye duchowne załatwiał, udaje się przeto jego pomocnik i zastępca. Zdarza się przeto, że w jednym dniu zrobić musi cztery lub pięć mil drogi. W każdej parafii jeden ksiądz, będący na miejscu, miałby dosyć pracy, gdyż parafia sokołowiecka ma 14 wiosek, a nowa parafia bryniecka sześć wiosek i miasteczko Wybranówkę do obsługi. Do tej pracy zaliczyć również trzeba codzienne ekskursye do szkół ludowych dla udzielania nauki religii. Mimo czerstwego zdrowia i najlepszych chęci, ustawiczne, nużące wyjazdy bardzo osłabiają i zużywają siły tak, że jeden ksiądz długo na tem stanowisku utrzymać się nie może. Mamy nadzieję, że w roku bieżącym sprawa się ureguluje, nowa parafia otrzyma już stałego księdza, boć i kościół zbudowany, a mieszkanie ofiaruje na rok lub dwa wraz z utrzymaniem właściciel Bryniec Zagórnych.

Wszystkich ekskursyi do kościoła z nabożeństwem i do szkół z nauką było w roku 1908. przeszło czterysta, mimo dwumiesięcznych i mniejszych wakacyi szkolnych.

Jezierzany. *List ks. Superyora Sokołowicza z dnia 11. lutego b. r.*—W spisie domów i konfratrów dom nasz ma wypisane na czele *Paroisse, Missions, Pèlerinage* — parafie, misye, odpusty. W tych też trzech rodzajach pracy koncentrują się zajęcia nasze.

Pasterska praca tutejsza nieco odmienna od pracy proboszczów w zachodniej Galicyi, na Ślązku i dalej, a mianowicie o tyle, że mając owieczki porozrzucane po jedenastu wioskach, musimy do nich dojeżdżać z duchowną posługą, a swoim porządkiem i miejscowych pilnować. W obrębie parafii mamy dotąd cztery kaplice filialne gotowe, a dwie na ukończeniu. Oprócz tego w niedzielę i święto jeździmy do Bilcza Złotego z nabożeństwem. Pracę niedzielną i świąteczną dzielimy między siebie zwykle następująco: Zrana, od godziny $5^1/_2$, jeżeli są ludzie, siadamy wszyscy trzej do konfesyonałów i spowiadamy. O godzinie $6^1/_2$ jeden wychodzi z jutrznią, następnie ma prymaryę z wystawieniem *in pyxide*, w czasie której lud śpiewa „Godzinki“. Inni jeszcze spowiadają. Co zostanie, zostawiają temu, który miał prymaryę, a sami się rozjeżdżają: jeden do Bilcza, gdzie odprawiwszy nabożeństwo, wraca, by tu jeszcze sumę zaśpiewać; drugi wyjeżdża na ekskursye w obrębie parafii. Letnią porą bierze po dwie kaplice na jeden wyjazd i miewa po dwie sumy i dwa kazania, a jak trafi zmiana tajemnic, to mu jeszcze ze dwie egzorty przybędzie; w zimie, kiedy dzień krótki i drogi ciężkie, bierze tylko po jednej kaplicy. Ten, co odprawił prymaryę, ma jeszcze wotywę o dziewiątej, na którą dosyć licznie przybywa inteligencya z dworów; a na sumie ma tenże kazanie.

Tym sposobem przez cały rok prawie zawsze wszyscy trzej binujemy t. j. po dwie msze św. w niedziele i święta odprawiamy.

W ubiegłym roku 1908. kazań i egzort w kościele tutejszym i po kaplicach powiedzieliśmy 180, a poza parafią (kazania na odpustach, rekolekcyach, konferencye do Sióstr etc.) 70, razem 250.

Ekskursyi w obrębie parafii było 418, poza parafią 193, razem 611.

Spowiedzi wysłuchaliśmy i Komunii św. rozdali w samym kościele 5849, w kaplicach 1879, razem 7728. Chorych było zaopatrzonych 78.

W powszednie dni ks. Wrodarczyk codzień jeździ do szkół, ks. Odrobina (obecnie — dawniej ks. Dudek) ma w jednym dniu dwie szkoły, a zresztą obydwaj pilnujemy kancelaryi, chrztów, pogrzebów — co się trafi.

Ma też dom nasz jakby na szyldzie wypisane: *missions*, tj. że obok pracy parafialnej powinien i misyi—tego pierwszorzędnego w Zgromadzeniu dzieła — pilnować. Niestety, tak nas teraz maluczko, że z biedą potrzebom parafii możemy odpowiedzieć; na misye chyba wyjątkowo i to na krótki czas może się który z nas wychylić. W ubiegłym roku dwa razy honor ten mnie spotkał.

Kiedy się skończył nasz konwent w Krakowie, wysłał mnie Przew. ks. Wizytator, by pod prefekturą ks. Rossmanna dać misyę aż na morawskiej granicy. Obok Morawskiej Ostrawy, już po stronie austryackiego Ślązka, utworzyła się naprzód kolonia, z Niemców, Czechów i Polaków złożona; następnie tę część wydzielono z olbrzymiej parafii Ostrawskiej, nadano duszpasterza i tak powstała parafia Michałkowice, gdzie nam wypadło pracować. Proboszczem jest tu ks. Jan Tagliaferro, z rodu Włoch, ale mówi biegle po polsku, po czesku i po niemiecku. Kazania miewa zwykle do połowy po czesku, od od połowy po polsku, czasem po niemiecku. Jest on pierwszym tej nowej parafii proboszczem. Przed rokiem byli tu konfratrzy z Wiednia: ksiądz Józef Beran i ksiądz Franciszek Kuchař. Dali misyę czeską, a my mieliśmy do Polaków przemawiać. Chodzili jednak i Czesi na nasze nauki, a czasem się i Niemiec jaki zaplątał. Wszystko razem wziąwszy było ich tyle, żeśmy się cieszyli, jeżeli ławki były zapełnione. Mowy tu nie było o generalnej Komunii św., jak i o innych obrzędach, które gdzieindziej tak misye nasze zdobią. Kto tylko się wyspowiadał, prosił o Komunię św.,

bo mu się spieszyło do ciężkiej pracy — na szychtę. Były też wypadki, że bezbożni ludzie na drogach stawali i nie puszczali ludzi do kościoła. W niedzielę, 31. maja, kiedyśmy pracę zaczynali, tudzież w obydwa dni Zielonych Świątek, kościół napełnił się dostatecznie; do spowiedzi jednak niewiele przybyło — nawet w te dni. Obok tych przykrych chwil były też i pocieszające. Matka jedna n. p. zauważyła, że jej synek jakieś pisemko do domu przynosi i starannie chowa. Sama nie umiała czytać, ale dopadłszy takiej gazetki, poszła do sąsiadów; tam jej przeczytali. Potargała w kawałki bezbożne piśmidło, a potem ze łzami w oczach zaklinała syna, by więcej takich pisemek nie czytał; co jej też przyrzekł. Kiedyśmy odjeżdżali, przyniosła na Mszę świętą, w intencyi, „żeby się ten synek nie skaził". W terminie od 31. maja do 8. czerwca wyspowiadaliśmy razem z ks. proboszczem około 500 dusz — toby chyba gdzieindziej i jeden dał radę. Nauk powiedzieliśmy 17.

Kiedy z Krakowa wróciłem, ekspozyt z Horodnicy prosił znowu o misyę. Korzystając z tego, że tu ks. Ździebło zastępował, przyjąłem tę pracę. Mieliśmy jechać obydwaj z ks. Dudkiem, ale jakoś się sprawy pogmatwały — i padł los na mnie samego. Horodnica jest to świeżo utworzona ekspozytura z parafii Liczkowce obok Husiatyna. Zaczęła się ta misyjka 22. a skończyło się wszystko 26. czerwca. Nauk miewałem po cztery dziennie przez trzy dni, a na wstęp i zakończenie trzy, razem piętnaście. Przy pomocy księży sąsiadów wyspowiadało się samych Polaków przeszło 600, nie licząc Rusinów, którzy po Komunię św. poszli do cerkwi.

Tuby chyba wypadło wliczyć rekolekcyjną pracę, w której ubiegłego roku pozwolił mi Pan Bóg również dwa razy wziąć udział. — W Czortkowie rok rocznie urządzali Wielebni OO. Dominikanie u siebie we Wielkim Poście rekolekcye dla inteligencyi. W r. 1907 jakoś zaproszeni nie bardzo dopisali, dlatego na rok następny uchwalono zwrócić się do wszystkich — i to się lepiej opłaciło. Zjechał z Tar-

nopola mellifluus O. Konstanty Żukiewicz, jako drugi kaznodzieja stanął miejscowy O. Augustyn Peczek, a do tej dwójki i mnie uczepili. Przez trzy dni od 31. marca do 4. kwietnia było po trzy nauki dziennie, na każdego po jednej wypadło. W ostatnim dniu spowiadaliśmy razem z miejscowymi OO. Dominikanami, nadto ze sąsiedztwa trzech księży pomagało, tudzież ks. kanonik Borawski, kapelan Sióstr — i było co robić. Przyznali wszyscy, że takie rekolekcye lepsze. Z inteligencyi kto chciał, to i tak przyszedł.

W zakładzie Sióstr w Czortkowie na mnie też wypadło tego roku dorocznym rekolekcyom przewodniczyć. Zacząłem 1., a skończyłem 5. grudnia. Przebieg tych ćwiczeń był zupełnie taki sam jak zwykle po zakładach Sióstr. Udział wziął cały zakład t. j. i staruszkowie poważni, którzy tu ostatki dni swoich spędzają, i młodzież podrośiejsza i mały drobiazg. Na końcu przyjęcie do rozmaitych stopni stowarzyszeń: Dzieci Maryi i Aniołów Stróżów. U jednych radość, że medal dostali, inni smutni, że ich pominięto.

Wreszcie mamy też tutaj *pèlerinages* — odpusty. Dwa do roku teraz się obchodzą: jeden na św. Annę, drugi na Niepokalane Poczęcie. Św. Anna, patronka naszej parafii, daleko na Podolu słynie. Były wypadki, że aż z Pokucia od Husiatyna byli tu ludzie na odpuście. Jak pogoda dopisze, to się tu tysiące narodu rok rocznie zbiera. Już na pierwszych nieszporach jest co robić, a w samo święto dwudziestu kapłanów musi dobrze pilnować, by się wszystko na drugą lub trzecią godzinę po południu skończyło. W tym roku deszcz ulewny powstrzymał ludzi, a niedziela, w którą św. Anna wypadła, kapłanów — i dosyć słabo odpust ten wypadł. Była niewygoda ze spowiedziami, bo się trzeba było gnieść w kościele, ale zjechało kapłanów dwunastu i w sam raz starczyli.

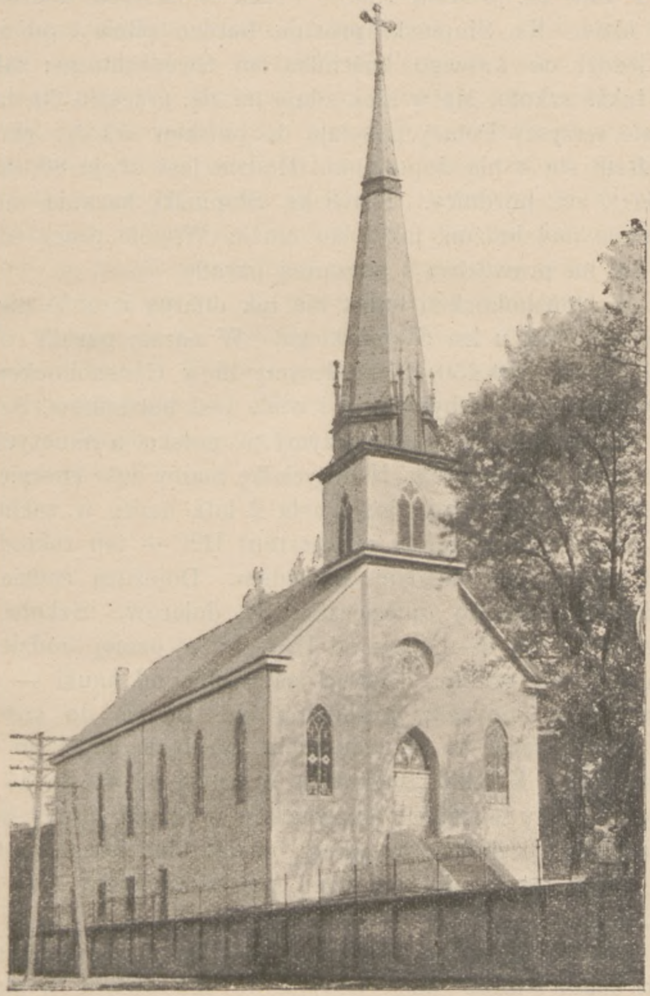
Drugi odpust Niepokalanego Poczęcia poważniej się odbył: pogoda sprzyjała, księża też dopisali. Według liczby komunikantów wyspowiadało się Polaków po 800 na każdym z tych odpustów; a na ostatnim była i ruska wotywa,

w czasie której sąsiad nasz, ks. Dniestrzański, dawał i dawał swoim Komunię św., aż mu partykuł zabrakło — i musiał resztę zabrać do cerkwi, żeby tam zakomunikować.

Żeby taki zastęp kapłanów ściągnąć na nasze odpusty, trzeba się im dobrze wysługiwać i zarabiać i odrabiać. Tu nie Kraków, ani Lwów, gdzie klasztor przy klasztorze i o księży łatwo. Sąsiedzi nasi to też proboszczowie, mają u siebie w kościołach i po kaplicach odpusty. Rzadki też w okolicy odpust, żeby na nim Misyonarza brakło. To nam pracy przysparza, ale też za to do nas chętnie i licznie się zjeżdżają.

To takie okazalsze „pèlerinages“, a inne ciche trwają tu prawie cały rok. Skoro tylko ludziska wolniejsi od pracy w polu, to przychodzą do spowiedzi i nasi z blizka i obcy z dalsza. Sam nawet kościół ładny dobrze wabi. Z sąsiedniego Głęboczka np. co trochę zajeżdżają sanie przed nasz kościół z ludźmi do spowiedzi.

Do tych zwykłych zajęć naszych przydał Przew. ksiądz Wizytator i odwiedzanie kwartalne sześciu okolicznych domów Sióstr. Tam też niejedna pociecha się trafi. W Czortkowie jedna z panienek zakładu Sióstr już była umierająca. W samą uroczystość Matki Boskiej Różańcowej wywołano mnie od Dominikanów, by ją do Dzieci Maryi przyjąć. Po przyjęciu nastąpiła nagle zmiana fizyczna i, co ważniejsza, moralna. Żyje dotąd, chce to sama opisać i do Krakowa posłać. — W Husiatynie, na samej rosyjskiej granicy, powstało stowarzyszenie Dzieci Maryi. W samą uroczystość Cudownego Medalika przyjąłem do tego Stowarzyszenia kilkanaście dziewcząt służących ze szpitała, tudzież przychodnich z miasteczka. Gorliwość wielka między niemi. Nie mogły się gromadzić w kaplicy zakładowej; znalazła się przecież jedna poczciwa, która całe swoje mienie ofiarowała na zakupno domu, żeby się tam ich zebrania odbywać mogły. — W Budzanowie i Czerwonogrodzie istnieją już stowarzyszenia Dzieci Maryi od dawna.



Kościół Najśw. Maryi Panny w Conshohocken.

Conshohocken. — *Z listu ks. Osadnika do ks. Wizytatora z dnia 24. grudnia 1908.* Praca w naszych kościołach dość idzie. Ks. Słupiński pracuje bardzo pilnie i poświęca się, jeździ do naszego kościółka na Swedesburgu; założył tam także szkołę. Ma w niej, zdaje mi się, przeszło 60 dzieci, ale nie wszyscy Polacy posyłają do polskiej szkoły, chociaż przedtem się o nią dopominali. Rodzin jest około 80, nadto ludzie t. zw. bordnicy. Prawi ks. Słupiński kazania mocno i pracuje nad ludźmi, jak tylko może. Wogóle pracę rozwinął, jak na prawdziwą i porządną parafię.

W Conshohocken ludek nie tak ofiarny i może nie tak bogobojny, jak u ks. Słupińskiego. W naszej parafii rodzin będzie około 240-250. Dusz liczymy tu w Conshohocken na 1300, bo dużo przybyło ludzi i wiele jest bordników. Szkoła liczy 115 dzieci; my księża uczymy po polsku, a nauczycielka angielskich przedmiotów. Nauczycielkę mamy dość energiczną, z dobrej rodziny bogobojnej; była 2 lata nadto w zakładzie św. Józefa przy Filadelfii w Chestnut Hill — ten zakład ma dobrą sławę pod każdym względem. Dojeżdża codziennie z Filadelfii, płacimy miesięcznie 30 dolarów. Szkoła jest dwurazowa, od 8—11 $^1/_2$ i od 1 $^1/_2$—4; o ósmej codziennie msza św. dla szkoły. Sobota jest wolna od nauki — zato katechizm do spowiedzi i Komunii św. Ludzie do kościoła dość uczęszczają, na obu mszach św. bywa ludzi do 600, czasem 700. Kolekta niedzielna przynosi od 40 do 47 dolarów. — Mamy też kilku niedowiarków w parafii, którzy wcale do kościoła nie chodzą, wygadują nawet bluźnierczo na Ojca św. Mamy też szkołę wieczorną polsko-angielską trzy razy tygodniowo.

Obecnie u nas w Ameryce w naszym stanie śnieg dość wielki spadł i mróz dość trzyma, to też święta wyglądać będą na podobieństwo krajowych; sanna nawet nie zła, bo Anglicy zaraz próbują i cieszą się na sannę. Fabryki stoją zwłaszcza w Filadelfii, u nas zaś ciągle idą, ale płaca nie jest jak dawniej. W jednej zarobią tygodniowo do 25 dolarów, ale w innych najwięcej 10, czasem 15 dolarów; spo-

dziewają się poprawy na wiosnę, gdy nowy prezydent obejmie już rządy.

Zapomniałem jeszcze wspomnieć, że będziemy mieli misyę; zacznie się w niedzielę po Nowym Roku, trwać będzie od 3. do 10. stycznia, a na Swedesburgu będzie trwać dni cztery. Równocześnie urządzamy czterdziestogodzinne nabożeństwo z końcem misyi. Jedna tylko szkoda, że ksiądz Buchhorn nie będzie brał udziału w naszej misyi. Wyjeżdża okrętem już 6. stycznia do Europy. Aby misyonarze mieli wygodę na misyi, urządziliśmy wszystko, co się dało; w domu sprawiliśmy niektóre nowe rzeczy, bo nam brakowało, a w kościele ambonę za 60 dolarów, ornat biały na codzień za 16 dolarów i komże. Także i szopkę, cała kosztuje 30 dolarów.

Obecnie misya we Filadelfii, jeździliśmy codziennie z pomocą, a Wigilię będziemy obchodzić razem z konfratrami w Filadelfii.

Dekreta Stolicy św.

1. Przywilej co do odprawiania Mszy św. w kaplicach S. S. Miłosierdzia.

O. Generał pisze w cyrkularzu noworocznym: „Mocą reskryptu papieskiego z dnia 11. sierpnia 1908 mogą wszyscy Księża Misyonarze stosować się do naszego *Ordo*, ilekroć odprawiają Mszę św. w kościołach czy kaplicach S. S. Miłosierdzia, wyjąwszy dni, w które przypada uroczystość Patrona danej miejscowości, poświęcenia kościoła katedralnego, oraz Patrona tejże świątyni".

Załączamy tutaj tekst łaciński prośby do Stolicy św. i odpowiedzi na nią.

Prośba:

Beatissime Pater!

Sacerdos Petrus Piacenza, S. R. C. Protonotarius Apostolicus, ad thronum Sanctitatis Vestrae humiliter provolutus, ad dubia solvenda et ad anxietates praecavendas circa interpretationem legis de celebratione Missae in Oratoriis semipublicis, enixe rogat, ut Sanctitas Vestra dignetur declarare, quod omnes et singuli Presbyteri Congregationis Missionis possint celebrare Missam iuxta Calendarium eiusdem Congregationis, quotiescunque celebrant in Oratoriis semipublicis Puellarum Caritatis, exceptis diebus, quibus occurrit festum Patroni loci, vel Dedicationis Ecclesiae Cathedralis, aut eiusdem Titularis.

Odpowiedź Ojca św.:

Juxta preces in Domino.

Die 11. sextilis 1908. Pius P. P. X.

2. Stowarzyszenie Cudownego Medalika.

Z cyrkularza O. Generała notujemy następującą wiadomość: „Na prośbę kilku Biskupów polskich ustanowił Ojciec św. *Stowarzyszenie Cudownego Medalika* i przyznał mu wszystkie liczne odpusty, którymi udarowany jest szkaplerz niebieski Niepokalanego Poczęcia. Arcybiskup paryski, ks. Amette, zaprowadził je na miejscu cudownych objawień, w kaplicy domu Macierzystego S. S. Miłosierdzia. Za dyspensą Stolicy św. nie potrzeba się wpisywać, by zostać członkiem Stowarzyszenia i dostąpić wszystkich odpustów; wystarczy przyjąć Cudowny Medalik według formy przepisanej z rąk kapłana upoważnionego. Misyonarze nie potrzebują osobnej delegacyi, bo wszyscy mają tę władzę z góry. Innym zaś chętnie użyczamy, na każde zawołanie, władzy, złożonej przez Stolicę św. w nasze ręce. — Ponieważ dla dania światu Cudownego Medalika użyła Matka Najśw. jednej z S. S. Miłosierdzia, Wielebnej Katarzyny Labouré, oraz czcigodnego ks. Aladel, Misyonarza, uważaliśmy za rzecz słuszną, by dla Przełożonego generalnego rodzin św. Wincentego poprosić o godność i władzę dyrektora nowego Stowarzyszenia tak na archidyecezyę paryską, jak i na inne miejsca, w których je zaprowadzono lub ma się zaprowadzić w przyszłości. Ojciec św Pius X. i ks. Arcybiskup paryski zgodzili się na to chętnie".

W tymże cyrkularzu noworocznym (1909) załączono łaciński tekst podanych Ojcu św. próśb i jego decyzyi. Zamieszczamy tutaj jego przekład:

a) Stowarzyszenie Cudownego Medalika otrzymuje przywileje bractwa szkaplerza Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny.

Prośba:

Arcybiskup i Biskupi polscy gorąco proszą, aby Wasza Świątobliwość raczył Stowarzyszeniu Niepokalanego Poczęcia N. M. P. od Cudownego Medalika przyznać te same odpusty i przywileje, którymi cieszy się bractwo Szkaplerza Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny.

Odpowiedź:

Z audyencyi dnia 3. czerwca 1908.

Ojciec św., przychylając się ochotnie do prośby powyższej, raczył udzielić żądanej łaski, z tym wszakże warunkiem, żeby zapisywać imiona tych, których się przyjmuje do Stowarzyszenia Niepokalanego Poczęcia N. M. P. od Cudownego Medalika.

R. Kard. Merry del Val.

b) Zatwierdzenie ustaw i przywilejów Stowarzyszenia Cudownego Medalika.

Prośba do Stolicy św.:

Ojcze Święty!

Ks. Antoni Fiat, generalny Przełożony Zgromadzenia Księży Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia, upadłszy do stóp Waszej Świątobliwości przedstawia niniejszą pokorną prośbę.

We wielu dyecezyach istnieje pobożne Stowarzyszenie Niepokalanego Poczęcia N. M. P. od Cudownego Medalika, którego cel i ustawy są następujące:

§ 1. Stowarzyszenie Niepokalanego Poczęcia N. M. P. od Cudownego Medalika ma być żywym i nieustającym pomnikiem owego Objawienia Niepokalanej Dziewicy Maryi z r. 1830, którego święto obchodzi się w dniu 27. listopada, a w czasie którego Najśw. Panna wskazała wzór Medalika, rozszerzonego wkrótce po całym świecie i dla dziwnych, przezeń dziejących się, cudów nazwanego Cudownym.

§ 2. Stowarzyszenie to ma na celu oddawać cześć, należną Niepokalanej Dziewicy, jużto dbając o własne uświęcenie, jużto przez apostolstwo; najpiękniejszy wzór tego i najskuteczniejszą pomoc znajdziemy w Cudownym Medaliku.

§ 3. W każdej dyecezyi stoi na czele Stowarzyszenia Dyrektor dyecezyalny, kierując niem podług jego ducha, oraz ustaw i zwyczajów; podlega on Dyrektorowi generalnemu.

§ 4. Mocą reskryptu Ojca św. Piusa X. z dnia 3. czerwca 1905, Stowarzyszenie Niepokalanego Poczęcia N. M. P.

od Cudownego Medalika ma te same odpusty i przywileje, co bractwo niebieskiego szkaplerza Niepokalanego Poczęcia.

§ 5. Wszyscy wierni płci obojej mogą zostać członkami tego Stowarzyszenia i uczestniczyć w jego przywilejach, byle tylko nosili na piersiach Cudowny Medalik, poświęcony i włożony przez upoważnionego w tym celu kapłana, według formy, zatwierdzonej przez Leona XIII. (19. kwietnia 1895).

§ 6. Głównem świętem Stowarzyszenia jest dzień 27. listopada, uroczystość Objawienia Niepokalanej Dziewicy Maryi od Cudownego Medalika.

§ 7. Członkowie nie zaciągają żadnych nowych zobowiązań; winni jedynie od czasu do czasu powtarzać wezwanie, wyryte na Medaliku: *O Maryo, bez zmazy poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy.*

By Stowarzyszeniu zapewnić jedność i trwałość, uprasza się pokornie Waszą Świątobliwość o to, żeby Dyrektorem generalnym Stowarzyszenia był każdorazowy generalny Przełożony Zgromadzenia Księży Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia, tem bardziej, że jednej z tych właśnie Sióstr, Wielebnej Katarzynie Labouré, objawiła Bogarodzica ten Medalik.

Uprasza się nadto pokornie o to, aby dla trudności w zapisywaniu nazwisk, szczególniej podczas misyi, raczył Świątobliwość Wasza dać zwolnienie z obowiązku wpisywania członków. A Bóg....

Odpowiedź Ojca św.:

Przychylamy się do prośby w Panu.

Dnia 16. grudnia 1906. Pius X., Papież.

Pro memoria!

Confratres nostrae provinciae a Superioribus missi degentesque per interim in domibus Confratrum vel Sororum Caritatis in aliis dioecesibus quoad iurisdictionem ad excipiendas SS. Confessiones haec attendant:

1. In Dioecesi Tarnoviensi omnes sacerdotes nostri de mandato vel licentia R. A. D. Visitatoris sive confratribus sive sacerdotibus saecularibus iuvamen ferentes, gaudent iurisdictione ad excipiendas confessiones quorumcumque fidelium, etiam quoad casus reservatos.
2. In Dioecesi Premisliensi concessa est iurisdictio ad excipiendas fidelium confessiones cum facultate absolvendi a casibus reservatis die 10. Decembris 1908 ad triennium.
3. Intra fines Archidioeceseos Leopoliensis omnes nostri sacerdotes Confratribus iuvamen ferentes vel in domibus Sororum Caritatis degentes iurisdictione gaudent, usque ad revocationem.
4. In Dioecesi Vratislaviensi Rescripto Eminentissimi Cardinalis Principis Episcopi de die 27. Decembris 1905 concessa est nostris facultas excipiendi confessiones Sororum tantum, usque ad revocationem.
5. In Archidioecesi Posnaniensi competit nostris confratribus iurisdictio ad quinque annos (dat. d. 16. I. 1908).
6. In Dioecesi Culmensi concessa est facultas excipiendi confessiones quorumcumque fidelium una cum facultate absolvendi a casibus reservatis omnibus provinciae nostrae sacerdotibus de licentia vel mandato R. A. D. Visitatoris dictam Dioecesim petentibus, ad dies officii R. A. D. Słomiński, Visitatoris (de die 13. I. 1908).
7. In Dioecesi Cracoviensi et Warmiensi tandem procuranda est iurisdictio de casu ad casum. — Idem notandum quoad Archidioecesim Gnesnensem.

Ś. p. ks. Ignacy Wypyski.

Dnia 5. listopada 1908 r. umarł ś. p. ks. Ignacy Wypyski, proboszcz Ozorkowa, kapłan ze Zgromadzenia Księży Misyonarzy. Urodził się on 21. listopada 1836 r. w okolicach miasta Ciechanowa we wsi Drogiszka, parafii Zoruminek kapitulny dyec. płockiej, do szkół uczęszczał w Mławie. Księża Misyonarze mieli tam dom od 1712 r., poświęcając się misyom i pracy parafialnej. Prowadzili też pilnie szkołę parafialną. Gdy ks. Wypyski w niej się uczył, udzielał nauki religii ks. Tomasz Jabłcński. Pod kierunkiem tego zacnego Misyonarza nabrał zapewne powołania do stanu duchownego, a może właśnie blizka styczność z Misyonarzami skłoniła go, że wybrał sobie to Zgromadzenie. Wstąpił we Warszawie 26. lipca r. 1857. Po dwuletniej próbie złożył śluby św. dnia 27. lipca r. 1859 i przeszedł na studya. Po ukończeniu nauk filozoficznych i teologicznych przyjął święcenia kapłańskie z rąk ś. p. ks. Szczęsnego Felińskiego, naonczas arcybiskupa warszawskiego, dnia 13. lipca 1862 roku. W Zgromadzeniu pełnił dwa lata obowiązki wikaryusza przy kościele św. Krzyża. W czasie kasaty, 27. listopada 1864 r., wywieziono go do Łowicza wraz z innymi Księżmi Misyonarzami, niektórymi dość wiekowymi kapłanami. Stamtąd wkrótce przeznaczony został na wikaryusza do pewnej parafii przez ówczesnego administratora ś. p. ks. Pawła Rzewuskiego. Po roku przeznaczony został na administratora do Dalikowa w dekanacie łęczyckim, a po kilkunastu latach do Ozorkowa, gdzie pozostał już do śmierci. Pracy kapłańskiej poświęcał się gorliwie, to też parafianie kochali go serdecznie i otaczali szacunkiem; dowodem na to, że ciężko chorego zabrali go ze szpitala św. Ducha we Warszawie, by po śmierci spoczął

pomiędzy tymi, którym za życia spieszył przez wiele lat z posługą religijną. Dotknięty nieuleczalną chorobą ś. p. ks. Wypyski ratował się usilnie, bo pragnął jeszcze żyć dla chwały P. Boga i zbawienia powierzonych jego pieczy parafian; ale mimo pomocy lekarskiej zdrowia nie odzyskał i żywot doczesny zakończył w dniu 5. listopada roku zeszłego. Pogrzeb odbył się dnia 8. tegoż miesiąca; zjechało się księży około dwudziestu dwóch; przewodniczył obrzędowi pogrzebowemu ks. dziekan łęczycki, przyjaciel nieboszczyka. Mowę pogrzebową na cmentarzu miał sławny z wymowy ks. Giebartowski, proboszcz z Dmosina. Umarł ś. p. ks. Wypyski bardzo przytomnie, z poddaniem się woli Bożej, opatrzony św. Sakramentami.

R. I. P.

Ś. p. Siostra Marta Namysło.

Dnia 23. listopada 1908 r. powołał Pan Jezus do Siebie po krótkich cierpieniach, prawie bez konania, jedną z dawnych Sióstr naszych, Martę Namysło, znaną wszystkim w prowincyi pod imieniem S. Franciszki z furty w domu Centralnym. Zajęcie to bowiem było ostatniem u kochanej naszej zmarłej, która dawniej pracowała z wielką gorliwością i poświęceniem w kuchni i przy gospodarstwie w Budzanowie, Czerwonogrodzie, Maryampolu i u św. Łazarza w Krakowie.

Wszystkie Siostry wydają jej świadectwo pracowitości jako też uprzejmości i serdeczności w pożyciu wzajemnem. S. Franciszka miała ten przymiot rzeczywiście, lubiła przytem bardzo Siostry młodsze. Do ostatniej też chwili zachowała wesołość i swobodę umysłu, pomimo nawet dotkliwych nieraz cierpień reumatyzmu i astmy, która pod koniec życia szczególniej bardzo ją męczyła. O cierpieniach swych rzadko kiedy wspomniała. — Pobożność jej była pełna prostoty. Gdy pod koniec nie mogła już być czynną, często można ją

było spotkać z koronką w ręku idącą na chórek — mawiała wtedy: „Kiedy nie mogę pracować sama, to modlić się będę za tych, co pracują“.

Gdy była raz więcej cierpiącą i zmęczoną, zwrócono jej uwagę na to, dlaczego wstaje o godzinie 4. Odpowiedziała na to z uśmiechem: „A bo starość nie ma już wiele czasu, niech się starość pochlebia Panu Bogu, a za to weźmie ją niedługo P. Bóg do Siebie“.

Kochała bardzo obydwa nasze Zgromadzenia, interesowała się pilnie ich dziełami; miłowała też ubogich, dla których umiała często z uprzejmością i prostotą wyjednywać pomoc u osób przychodzących do furty. Tych, którzy ją uszczęśliwili jaką ofiarą, nazywała „swoimi najlepszymi przyjaciółmi“. — Znano ją powszechnie, nawet wśród osób z poza Zgromadzenia, pod nazwą „Cioci z furty“.

Kiedy w ostatnich czasach była już na infirmeryi, wyrażała kilkakrotnie głośno tę miłość i przywiązanie do powołania i do Zgromadzenia, dziękując za to, że jest w Zgromadzeniu, że tak jest szczęśliwą, że w niem umiera.

Będąc już niemal w konaniu, opowiadała spokojnie o tem, jak tam będzie w niebie, że spotka się z Wielebną Matką naszą i z Siostrami, które ją wyprzedziły, obiecując tym, którzy ją odwiedzali, że tam o nich pamiętać będzie. Bała się tylko, żeby P. Jezus tej chwili dla niej nie opóźniał i żeby, jak mówiła, „to się jeszcze nie odmieniło“.

Pragnienia jej spełniły się rychło; po kilku zaledwo dniach pobytu w infirmeryi poszła, jak ufamy, połączyć się z P. Jezusem i Niepokalaną Dziewicą, którą tak bardzo kochała, oraz z rodziną św. Wincentego, którego duch ożywiał ją zawsze.

Miła jej postać pozostała nam i tkwić będzie zawsze w naszej pamięci, przedstawiając nam wzór pierwszych Sióstr naszych, stawiając przed oczy nasze przykład cnót, składających ducha naszego powołania. *S. J.*

R. I. P.

Zmarli Misyonarze:

1. Ks. Hadryan Raimbault, 24. grudnia 1908 w Dax, żył lat 62, w Zgromadzeniu 36.
2. Br. Henryk Dehogne, 1. stycznia 1909 w Dax, żył lat 71, w Zgromadzeniu 36.
3. Ks. Marek Puyo, w styczniu w Cali (Columbia), żył lat 51, w Zgromadzeniu 25.
4. Kl. Ernest Toth, w styczniu w Kia-szing (Chiny), żył lat 26, w Zgromadzeniu 6.
5. Ks. Wilhelm Vollet, w styczniu w Pernambuco (Brazylia), żył lat 42, w Zgromadzeniu 25.
6. Kl. Ireneusz Urresti, 19. stycznia w Madrycie, żył lat 24, w Zgromadzeniu 9.
7. Ks. Franciszek O'Donoughe, 2. grudnia 1908 w Germantown, żył lat 59, w Zgromadzeniu 38.
8. Ks. Piotr Julia, w styczniu w Manili (na Filipinach), żył lat 60, w Zgromadzeniu 43.
9. Ks. Hipolit Duhamel, w lutym w Arequipa (Peru), żył lat 77, w Zgromadzeniu 47.
10. Ks. Amadeusz Allou, 5. lutego w Paryżu, żył lat 76, w Zgrom. 54.
11. Ks. Józef Duretz, 8. lutego w Paryżu, żył lat 27, w Zgrom. 7.

Siostry Miłosierdzia

z prowincyi krakowskiej:

1. S. Elżbieta Wysocka, 19. stycznia w domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 75, w Zgrom. 53.
2. S. Katarzyna Jackowska, 30. stycznia w Moszczanach, żyła lat 75, w Zgrom. 45.
3. S. Marya Jaroszyk, 3. lutego w domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 29, w Zgrom. 9.
4. S. Marya Feicht, 12. lutego w domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 30, w Zgrom. 10.

R. I. P.